

Grey Scale #13



Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



J. BAUDOUIN DE COURTENAY

MÓJ STOSUNEK DO KOŚCIOŁA

WARSZAWA 1927

SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

"BEZ DOGMATU"

CENA 2— ZŁ.



J. BAUDOUIN DE COURTENAY

MÓJ
STOSUNEK
DO
KOŚCIOŁA

W A R S Z A W A 1 9 2 7

SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

„B E Z D O G M A T U”

CENA 2— ZŁ.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone
Copyright by „Bez Dogmatu”, Warsaw

POLSKI ZWIĄZEK MYŚLI WOLNEJ

SEKRETARJAT GENERALNY:

Warszawa, Poznańska 14 m. 19, tel. 126-55

Koło Warszawskie: Królewska 16, tel. 118-14

(Wyciąg ze Statutu).

§ 3. Celem Polskiego Związku Myśli Wolnej jest pogłębianie, szerzenie i urzeczywistnianie zasad myśli wolnej i tolerancji wzajemnej we wszelkich dziedzinach życia osobistego i społecznego, a więc zarówno w nauce i sztuce, jak w wychowaniu, religji i polityce; przeciwstawianie się każdemu systematowi, opierającemu się na gwałcie i przymusie, tak w stosunku jednostki do jednostki, jak i grupy społecznej do innej grupy społecznej. W szczególności celem PZMW. jest obrona wolności sumienia i prawa samookreślenia jednostki, akcja o przeprowadzenie zupełnego rozdziału pomiędzy państwem a kościołem, o oddzielenie spraw moralności, wychowania i szkolnictwa od obcych im spraw religijno-kościelnych, a więc o powszechną szkołę świecką; o uprawnienie bezwyznaniowości, o rzeczywiste równouprawnienie wszystkich obywateli kraju bez różnicy rasy, pochodzenia, pici, wyznania i przekonań politycznych.

J. BAUDOUIN DE COURTENAY.

MÓJ STOSUNEK
DO KOŚCIOŁA.

WARSZAWA

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„BEZ DOGMATU“

1927.

31591 | 2

PAMIĘCI

mojej matki, JADWIGI z Dobrzyńskich,
zmarłej w Radomiu w r. 1870, w 50-ym roku
życia,

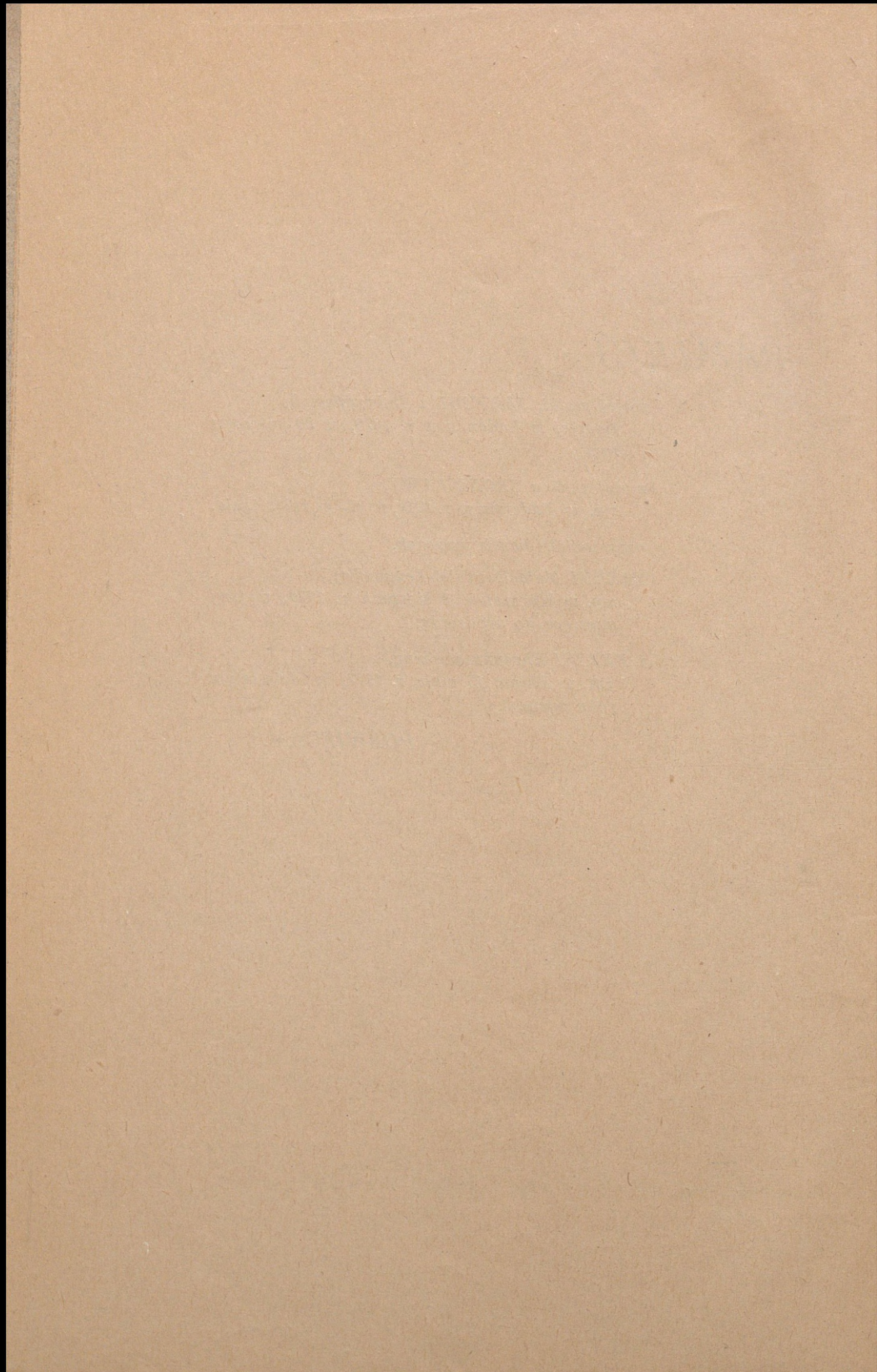
mojej siostry BRONISŁAWY,
zm. w Radomiu w r. 1919, w 72-im roku życia,

oraz moich dwóch wnuczek,

TERENI Małachowskiej-Lempickiej,
zm. w Warszawie 3 sierpnia r. 1926, w trzy
miesiące po urodzeniu,

i KRZYSI Ehrenkreutzówny,
zm. w Wilnie 19 maja r. 1927, w dziesiątym
roku życia,

POŚWIĘCAM.



Rozdział I., wstępny.

Punkt wyjścia. „Fałszywa faska“.

Za punkt wyjścia biorę kapitalne głupstwo, popełnione przezemnie przed trzydziestu laty. Mieszkałem wówczas w Krakowie, do którego w r. 1893 przenieśliem się z Dorpatu-Jurjewa, nie wysłużwszy pełnej emerytury rosyjskiej, ażeby móc pracować w jednym z istniejących wówczas uniwersytetów polskich. Wkrótce po przybyciu do tego miasta zostałem niemile dotknięty zwyczajem, praktykowanym przez wszystkich mieszkańców Galicji, któremu to zwyczajowi ja również musiałem się poddać, bo inaczej zostałbym pozbawiony dachu nad głową.

Oto, wynajawszy mieszkanie i opłaciwszy umówione ustnie komorne za pierwszy kwartał, powinienem był po jakimś czasie w osobnej księdze domowej stwierdzić własnoręcznym podpisem oświadczenie, równające się pod względem prawnym zeznaniu pod przysięgą, a więc w razie wykrycia urzędowego nieprawdziwości zeznania karane na równi z „krzywoprzysięstwem“, ile mianowicie wynosi moje roczne komorne.

Przy tem gospodarz domu oświadczył mi, że za nic w świecie nie mogę zmieniać figurującej w księdze sumy na istotnie umówioną i opłacaną, ale że muszę w swem zeznaniu „pod przysięgą“ czyli w „fasji mieszkaniowej“ uznać zredukowane mniej więcej do połowy komorne. Kiedy próbowałem protestować, mój „kamienicznik“ oświadczył mi stanowczo, że jednak muszę się na to zgodzić, że jestto obowiązujący wszystkich lokatorów zwyczaj, a gdybym się chciał zpod niego wyłamać, zostanę wyrzucony z zajmowanego mieszkania i nie znajdę mieszkania w żadnym innym domu, bo

mnie żaden właściciel domu do siebie nie puści. Nie było więc rady i trzeba było ostatecznie popełnić to uświęcone zwyczajem „krzywoprzysięstwo”.

Zapytywałem wszystkich swoich kolegów i znajomych krakowskich, prosząc ich o wyjaśnienie. Wszyscy dziwili się mojej naiwności, zapewnili mię, że mój gospodarz miał słuszość i radzili mi, ażebym się poddał bez szemrania zwyczajowi, który tu nikogo nie razi. Praktykuje się zaś ten bogobojny zwyczaj dla ulżenia właścicielom domów przy opłacaniu podatku dochodowego, który od komornego wynosi 45⁰/₀ sumy, wymienionej w „fasji”. Co innego bowiem jest 45⁰/₀ od istotnie pobieranej sumy komornego, a co innego 45⁰/₀ od mniej więcej połowicznego nominalnego komornego, wnoszonego do księgi fasji podatkowej i stwierdzanego podpisem samego lokatora.

Po takim wyjaśnieniu stuliłem uszy, zrezygnowałem z wszelkich protestów i zgodziłem się być szubrawcem i oszustem, popełniającym rok rocznie zawodowe fałszerstwo, równoznaczne z „krzywoprzysięstwem”.

A trzeba wiedzieć, że władze skarbowe wcale się nie krępowały zeznaniami fasyjnemi lokatorów, ulegających terrorowi właścicieli domów, i całkiem dowolnie, według widzimisie, powiększały sumę nominalnego komornego niekiedy nawet ponad sumę komornego faktycznego. Ponieważ każdy urzędnik galicyjski był albo lokatorem, albo „kamienicznikiem”, więc też każdy urzędnik skarbowy popełniał sam owo zwyczajowe fałszerstwo i „krzywoprzysięstwo” i mógł śmiało powiększać sumy „fałszywej fasji”, bo wiedział, że nikt nie będzie protestował przeciw temu samowolnemu powiększaniu. Gdyby bowiem protestował, zarządzono by dochodzenie i dowiedziono by fałszerstwa i krzywoprzysięstwa, t. j. występków, przewidzianych przez kodeks karny. Owa możność dowolnego powiększania sum, zeznanych w fałszywej fasji, była w rękach urzędników doskonałym środkiem faworyzowania prawomyślnych obywateli, a prześladowania obywateli, podejrzanych o nieprawomyślność i „przewrotowość”.

Obywatele prawomyślni, bogobojni, pobożni, gorliwcy wyznaniowi, praktykujący wszelkie nakazane przez Kościół obrządku, spełniający w przepisanych terminach wszelkie sakramenty, zarówno sakrament pokuty, jak i ciała i krwi

Pańskiej, wylegujący się całymi godzinami krzyżem w kościele Panny Marji i we wszystkich innych kościołach krakowskich i wogóle galicyjskich, nie wahali się podpisywać rok w rok zeznania krzywoprzysięskie. A do tych nieświadomie, podświadomie i świadomie cynicznych obłudników należeli w polskiej Galilei nie tylko zwykli śmiertelnicy i śmiertelniczki, ale także luminarze i świeczniki społeczeństwa, przodownicy hierarchji kościelnej, biskupi i arcybiskupi, artyści, literaci pierwszorzędni, profesorowie wyższych zakładów naukowych, członkowie Akademji umiejętności z jej prezesem na czele, jednym słowem kwiat różnonarodowej inteligencji galicyjskiej (dziś „małopolskiej”).

Duchowieństwo różnowyznaniowe, kler żydowski, katolicki i wszelki inny uczestniczył w tem okłamywaniu, w tem fałszowaniu, w tem nagminnem oszustwie i ani jednym słówkiem nie protestował przeciwko niemu. Jeżeli „fałszywa faszja” należała do „grzechów”, toć oczywiście każdy prawowierny katolik powinien był się spowiadać z tego „grzechu”, i oczywiście za każdym razem otrzymywał rozgrzeszenie wraz z pozwoleniem powrotu do grzechu i kontynuowania utartego zwyczaju „fałszywej fasji”.

Zdaje się jednak, że „fałszywa faszja” nie należała do grzechów, przewidzianych przez moralność żydowsko-chrześcijańsko-katolicką. Przecież w Dekalogu czyli w Dziesięciorgu Bożych Przykazań nie znajdujemy wcale przykazania: „nie kłam, nie udawaj, nie oszukuj, nie fałszuj, nie bądź obłudnikiem”; boć „nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu” (pierwotnie przyk. 9-e, później 8-e) znaczy właściwie co innego. Tak więc kler różnowyznaniowy, patrząc pobłażliwie na „fałszywą fasję” i sam w niej uczestnicząc, był w porządku ze swem sumieniem wyznaniowem. „Krzywoprzysięstwo”, związane z „fałszywą fasją”, było pojęciem tylko świecko prawniczem, obcem dziedzinie religji.

W mojej jednak etyce pozawyznaniowej wołało gromkim głosem owo przykazanie, nie przewidziane ani w etyce żydowsko-chrześcijańskiej, ani w etyce rzymsko-katolickiej. Pomimo to, pod grozą stracenia dachu nad głową, podpisywałem w ciągu kilku lat „fałszwą fasję” w obu moich mieszkaniach krakowskich, i na ulicy Radziwiłłowskiej i na Pędzichowie, czyli byłem takim samym kłamcą, fałszerzem, oszus-

tem, „krzywoprzysięcą“, jednym słowem szubrawcem, jak wszyscy inni mieszkańcy Galicji i Lodomierji. Ale wstręt do tej ohydy, pragnienie zaprotestowania przeciw kłoaćce moralnej, w której się musiałem nurzać wraz z innymi, wzbierały coraz bardziej w mojej duszy i coraz natęczywiej targały mem sumieniem. Doprowadziło to w końcu do wybuchu i do wystąpienia publicznego. Pod koniec r. 1897 napisałem i wydałem nakładem własnym broszurę *„Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślniej“*. Kraków, 1898.”

Zastrzegłem się w tej broszurze przeciw posądzeniu, „jakoby mi przytem chodziło głównie o szkodę, jaką skutkiem fałszywej fasji ponosi państwo; nierównie bowiem większą szkodę ponosi dane społeczeństwo. Tak zwane „państwo“ ma samo dosyć środków do bronięcia swoich interesów; ma na swoje rozkazy setki tysięcy bagnetów, ma przymus w formach najrozmaitszych.

„Jestem więc przeciwnikiem fałszywej fasji nie ze względów abstrakcyjnych, nie dla tego, że jest ona wysoce niesprawiedliwą wobec opiekuńczego rządu, ale muszę ją potępić dlatego, że demoralizuje społeczeństwo do szpiku kości, że jest nigdy nie wysychającym źródłem gangreny moralnej, źródłem zgnilizny i korupcji powszechnej. Przyjąwszy fałszywą fasję za jedną z podstaw działania, mamy prawo, za przykładem jednego z „bohaterów“ komedji Dobrzańskiego „Złoty cielec“, powtarzać sobie bez ogródki: „Pan jesteś złodziejem, ja jestem złodziejem, wszyscy jesteście złodziejami“ i możemy sobie tego nawzajem powinszować.” (str. 28—29).

Zastanawiając się dziś z zimną krwią i w świetle rozsądku praktycznego, muszę przyznać, że moje wystąpienie przeciwko „fałszywej fasji“ pod naciskiem natrętnej autosugestji było objawem lekkomyślnej donkiszoterji, a mogło też sprawić wrażenie odpychającej megalomanji. „Niespokojny człowiek“, „warchoł“, „zarozumialec“, „chce być mędrszym od innych“, „wyrzywa się nieproszony ze swemi reprimandami“, „zakłóca spokój“, „należy go obezwładnić i usunąć“ i t. p. — oto uwagi, które musiały się nasuwać prawomyślnym, bogobojnym, bogoojczyźnianym obywatelom pod wrażeniem mojej zuchwałej napaści na ich „najświętsze wierzenia“ i „prawa zwyczajowe“.

Przyznaję im słuszość, dodając, że za swe nieobywa-

telskie i nieprawomyślne wystąpienie, za palnięcie kapitalnego głupstwa poniosłem zasłużoną karę.

Oplakane skutki niewczesnej donkiszoterji.

Ukazanie się mojej broszury wywołało powszechne oburzenie. Zawrzało jak w ulu albo jak w mrowisku. Gorliwi stróże „narodowego pamiątek kościoła“ nie posiadali się z gniewu i wzywali odpowiednie władze o pomstę za zuchwały napad na ich świętości. Oburzenie ogarnęło wszystkie stronnictwa, zarówno „prawicowe“, jak i „lewicowe“, oraz wszystkie „organy opinii publicznej“, z wyjątkiem, o ile pamiętam, socjalistów i dzienników socjalistycznych. Prócz tego pojedyncze osoby bezpartyjne, a nawet może należące do tej lub owej partji, nietylko nie oburzały się, ale, przeciwnie, wyrażały mi uznanie i podziw.

Ale te rzadkie objawy ze strony ludzi, oceniających przychylnie protest przeciwko chronicznemu i endemicznemu uprawianiu fałszerstwa i oszustwa, nikły w powodzi wycia i naszczekiwania nietylko ze strony zwykłych pismaków i krzykaczy, ale także ze strony patentowanych i przodujących narodowi inteligentów. „Kiedy w r. 1898, będąc wówczas profesorem uniw. Krakowskiego, w osobnej broszurze, „Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślnej“, zwróciłem uwagę na obniżanie poziomu etycznego publiczności galicyjskiej przez stałe uprawianie fałszerstwa i „krzywoprzysięstwa“ przy zeznaniach o wysokości płaconego komornego („fałszywa fasja“), p. St. Głębiński,—wówczas tylko profesor uniw. Lwowskiego, a jeszcze ani eksceleńcja austriacka, ani też poseł do Sejmu polskiego i minister oświaty Rzplitej Polskiej,—napisał w „Słowie Polskiem“, że jestem warjatem. Zdaniem p. G., tylko warjat może uznawać szkodliwy wpływ chronicznego fałszerstwa i „krzywoprzysięstwa“, Ówczesny zaś naczelny redaktor „Głosu Narodu“, w związku z tą sprawą, zawiadomił swych czytelników, iż jestem „szpiegiem rosyjskim“.

„Dwie zaszczytne kwalifikacje!

„Ostatecznie dotknięci w swych uczuciach kieszeniowych „patryjoci“ polsko-galicyjscy, zarówno „prawicowi“, jak i „lewicowi“, wyjednali u rządu austriackiego usunięcie mnie z uniwersytetu Krakowskiego”.

(„Redaktor pisma postępowego uznany przez policję za warjata”. „M.W.” 1925 №. 3, str. 125).

Nie raczono przytem zwrócić najmniejszej uwagi na to, że jednocześnie z broszurą „*Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślniej*“ wypuściłem rosyjską broszurę „*Cenzurnyja miełodzi. I. Kniaź Bismark i gonienije „Stawian“*”. Kraków 1893“, w której wystąpiłem przeciwko prześladowaniu Polaków w Prusach przez Bismarka i jego naśladowców. Nie mogło to zrównoważyć mojego zbrodniczego zamachu na uświęcone tradycją prawo zwyczajowe.

Polsko-galicyjscy posłowie do parlamentu Austryjackiego, zarówno „prawicowi”, jak i „lewicowi” (np. lwowski profesor Roszkowski), żądali od ministra oświaty w Wiedniu, ażeby mię natychmiast uwolnił. On sam był gotów uczynić zadość temu żądaniu wybitnych patryjotów polsko-galicyjskich, gdyby nie powstrzymał jego zapędów szef sekcji uważający: „Exzellenz, er ist von dem Kaiser selbst bestätigt” (ekscelencjo, on jest zatwierdzony przez samego cesarza). Załatwiono więc sprawę w ten sposób, że nie odnowiono mego pięcioletniego kontraktu (1894—1899) na nowe pięciolecie. Niektórzy z profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (Krakowskiego) jeździli umyślnie do Wiednia, ażeby dopilnować tej sprawy i nie dopuścić do jej załatwienia na moją korzyść.

Później znaczna większość Wydziału Filozoficznego Uniw. Krakowskiego (przeciwko mnie stanowczo było tylko 8 członków Wydziału) chciała mię zatrzymać w Krakowie, ale pod warunkiem (stawianym nie jednomyślnie), że odszczekam swe napady na „fałszywą fasję” i przeproszę osobiście p.p. hr. Pinińskiego (namiestnika Galicji), Bobrzyńskiego (wice-namiestnika i przewodniczącego Rady Szkolnej) i hr. Tarnowskiego (profesora i chwilowo rektora Uniw. Jagiell., prezesa Akademii Umiejętności). Przy rokowaniach ze mną zgadzałem się wprowadzić na niektóre ustępstwa, ale na odszczekanie i przepraszanie zgodzić się nie mogłem. Prof. Creizenach, który prowadził ze mną te rokowania w imieniu Wydziału, powiedział nareszcie dowcipnie: „Wissen Sie, Herr Kollege, die Herren möchten, Sie erklären, die falsche Fassion sei eine schöne und edle Volkssitte” (wiesz pan, panie kolega, ci panowie chcieliby, ażebyś pan oświadczył, że fałszywa fasja jest pięknym i szlachetnym obyczajem ludo-

wym. (Rozmawialiśmy po niemiecku, ponieważ Creizenach, profesor germanistyki, był Niemcem i, chociaż mówił biegle po polsku, to jednak jakoś łatwiej nam było porozumiewać się po niemiecku).

Tak więc owe rokowania nie doprowadziły do niczego. Po wyrzuceniu czy też usunięciu mnie za nieprawomyślność z uniwersytetu polskiego nie pozostawało mi nic innego, jak wracać do Rosji. Przeniosłem się więc do Petersburga, gdzie po 18 latach pobytu spotkała mnie straszna klęska. Spreparowany przez wojnę, podszczuwany przez fanatycznego i zdeprawowanego inteligenta, rozbestwiony cham rosyjski, działający w imię „dyktatury proletariatu“ i pod hasłem „*grab' nagrablyennoje*“ (rabuję to, co zrabowano), zrabował i zniszczył prawie całe moje mienie ruchome, w tej licznie większą część mojej biblioteki, moich zbiorów i materiałów naukowych i uniemożliwił mi systematyczną pracę naukową w ostatnich latach mego marnego żywota. Jestto całkiem zasłużona nagroda za to, że, mając uniemożliwiony dostęp do wszechnic polskich, kilkadziesiąt lat musiałem spędzić w Rosji (w Petersburgu, w Kazaniu, w Dorpacie-Jurjewie i znowu w Petersburgu - Petrogradzie), pracując tam jako profesor uniwersytetu i różnych innych zakładów naukowych, jako autor rozmaitych dzieł naukowych, oraz uczestnicząc — zresztą całkiem niepotrzebnie i ze szkodą dla siebie samego — w życiu społecznym i politycznym narodu rosyjskiego i innych narodów państwa rosyjskiego.

Rozczulające jest w stosunku do mnie współdziałanie „patryjotów“ polskich i podżegaczy komunistycznych. W nagance i szczuciu na mnie idą oni ręką w rękę i dotychczas darzą mnie swą nienawiścią, która przynosi mi zaszczyt. To jednak, co mnie spotkało dzięki zgodnej współpracy „bogoojczyźniaków“ polskich i „proletariackich“ chamów rosyjskich, napętniło moją duszę goryczą i wstrętem do życia.

Gdybym był w swoim czasie trzymał język za zębami i nie wywyższał się ponad otoczenie, kornie, uległe i bez szemrania praktykujące „fałszywą fasję“, byłbym może i podczas wojny przebywał w Krakowie, do którego nie zdołały wkroczyć zwycięskie zastępy oswobodzicieli zpod sztandarów Mikołaja Mikołajewicza. Wprawdzie warszawscy „patryjoci“ polscy mogli ofiarowywać generałom rosyjskim złote szable

za obronę Warszawy i za wzięcie Lwowa, a co do Krakowa musieli się obejść smakiem, ale ja, mieszkając wtedy w Krakowie, ocaliłbym swoje mienie i mógłbym nadal spokojnie i systematycznie opracowywać swe w ciągu wielu lat zbierane materiały naukowe.

Na swej megalomanji i donkiszoterji wyszedłem gorzej, niż Zabłocki na mydle.

Mądralin.

Ani kara, jaka mię spotkała w Krakowie za „megalomanję“ i „donkiszoterję“, ani więzienie, na które mię skazano w r. 1914 w Petersburgu za mieszanie się nie do swoich rzeczy, ani nareszcie wzmiankowana powyżej klęska, poniesiona przeze mnie w Petersburgu już po wojnie w związku jeszcze z krakowskimi podszeptami „megalomanji“ i „donkiszoterji“, nie nauczyły mnie rozumu i powściągliwości języka. Już po przeniesieniu się z Petrogradu do Warszawy świerzbiał mię wielokrotnie język, a uparta autosugestia pchała do bzdurnych i lekkomyślnych wystąpień publicznych, narażających mię „opiuji publicznej“ i dojrzałemu sądowi „patryjotów“ i „bogoojęczyźniaków“. Zostałem w ich oczach „wrogiem Polski, całe życie pracującym na jej szkodę“.

Jednym z tego rodzaju lekkomyślnych i szkodliwych dla mnie wystąpień, podyktowanych tą razą już nie przez „donkiszoterję“, ale prawdopodobnie przez swoistą megalomanję i wstręt organiczny do wszelkiej „fałszywej fasji“, było moje oświadczenie w r. 1924, że, jako nie-chrześcijanin, nie mam prawa do korzystania z dobrodziejstw pobytu w Mądralinie. W ten sposób pozbawiłem się możliwości odpoczynku w warunkach nadzwyczaj pomyślnych, prawdziwie idealnych. Ze stanowiska zdrowego rozsądku i korzyści praktycznych był to krok nierozważny i po prostu głupi. Cóż bowiem mogło się stać złego, gdybym ja swoją „niechrześcijańskość“ zachował dla siebie, nie afiszując się z nią publicznie i nie podkreślając jej jako powód do niekorzystania z dobrodziejstw zapisu ś. p. Hiszpańskiego Kasie im. Mianowskiego? Tani pobyt w tej uroczej miejscowości byłby z korzyścią dla mojej kieszeni, a wyborne powietrze, doskonałe odżywianie się i wogóle cały zespół warunków pobytu w Mądralinie z korzyścią dla mego zdrowia. Przecież odwiedzają dość czę-

sto to wspaniałe sanatorium nawet głośni i oficjalni „wolno-myśliciele“, wykorzystujący swe „rzymsko-katolickie“ lub wogóle „chrześcijańskie“ wyznanie paszportowe.

Teraz znowu mię świerzbi język, a raczej ręka, trzymająca pióro piszące. Autosugestia, pchająca mię w danej chwili ku wystąpieniu publicznemu, wolna jest całkowicie od „donkiszoterji“, ale nie mogę zaręczyć, czy jest wolną od pewnej przymieszki „megalomanji“. No, ale kto wie, czy niezbędnym warunkiem wszelkiego samodzielnego działania ludzkiego nie jest pewien stopień megalomanji czyli obłądu wielkości. Bez tego człowiekby się wcale nie ruszał, a poddany władzy przeciwnego obłądu, obłądu małości czyli „mikromanji“, całkiem by zdrętwiał i uległby paraliżowi psychicznemu.

A chodzi mi w obecnej chwili o coś nierównie ważniejszego od „fałszywej fasji“ galicyjskiej. Chodzi mi o praktykowanie „fałszywej fasji“ co do mej istoty duchowej i wartości społecznej przez przeszło 60 (sześćdziesiąt) lat.

ROZDZIAŁ 2.

Moje pochodzenie katolickie. Mój „katolicyzm“ i moja wyznaniowość w ciągu całego życia.

Dzieciństwo, chłopięctwo i pierwsza młodość.

[Pochodzę z rodziny katolickiej. Zaraz po urodzeniu (w Radzyminie w r. 1845) ochrzczono mię, nie pytając mnie wcale o zgodę. Jak w nowoczesnych państwach wszyscy mężczyźni podlegają obowiązkowej służbie wojskowej, tak znowu w państwach bez rozdziału Kościołów od państwa wszystkie nowonarodzone dzieci podlegają obowiązkowemu chrztowi albo też (przynajmniej płeć męska) obowiązkowemu obrzezaniu.] A nawet przy rozdziele kościołów od państwa większość rodziców trzyma się tego lub owego wyznania. Tak więc w każdym razie byłbym ochrzczony. Do ksiąg „urzędu stanu cywilnego“ zostałem wniesiony przez księdza. Moimi rodzicami chrzestnymi byli ksiądz wikary i służąca moich rodziców.

Wychowanie otrzymałem szczerze rzymsko-katolickie. Od najmłodszejszego dzieciństwa wpajano we mnie starannie i sumiennie religijność rzymsko-katolicką ze wszystkimi jej przynależnościami.

Moja matka była prawdziwą katoliczką, nie damą flirtującą z konwenansowym Bogiem, ale osobą głęboko wierzącą i całą duszą, całym sercem oddaną swemu Bogu, który, chociaż, podobnie jak wszystkim innym osobom wierzącym, był jej narzucony i w nią wmówiony, stał się jej prawdziwym Bogiem osobistym, czczonym i wielbionym bez zastrzeżeń i bez powątpiezań, zgodnie z nauką Kościoła. Życie mojej matki było życiem męczennicy, poddającej się bez szemrania przeznaczonemu jej losowi, który dla niej był wyjątkowo okrutnym. Doznawała prawie bez przerwy tylko cierpień, a nader rzadko chwilowej przemijającej radości. Urodziła czternaścioro dzieci, z których tylko czworo wychowało się i dorosło; jedna córeczka zmarła mając lat pięć, a wszystkie inne w ciągu pierwszego roku życia. W jej cierpieniach jedyną jej pocieszycielką była głęboko odczuwana i całą istotą przeżywana religia. Za swój najświętszy obowiązek uważała bezwzględne posłuszeństwo Kościołowi, surowe przestrzeganie przepisów kościelnych i wykonywanie wszystkich bez wyjątku praktyk religijnych.

Uważając swoją religijność za niezbędny warunek szczęścia doczesnego i pozagrobowego, matka moja starała się wszelkimi sposobami wszczepić ją także dzieciom. Ćwiczyła nas w modlitwach, w niedzielę i święta czytywała nam przepisane na każde ze świąt lekcje i ewangelje, prowadziła nas na nabożeństwa, kazała czcić osoby duchowne, jako istoty wyższe, jednym słowem wychowywała nas w kulcie religijnym o absolutnej czystości i bez zarzutu.

Oczywiście usiłowania wychowawców w kierunku wszczepienia wychowankom czystej i prawdziwej religijności nie zawsze trafiają na podatny grunt, a wywołują czasami niepożądane skutki. „W małych dzieciach, skazanych na bałamucenie ich opowiadaniem i objaśnieniami całkiem dla nich niezrozumiałymi, można wzbudzić nastrój religijny przez samo powiedzenie „złóż rączki i pomódl się do bozi“. Jest to zapewne rozrzucające i rozczulające, ale czy zawsze celowe, czy zawsze da się długo utrzymać, to wielkie pytanie“.

(Różnoraka „psychologia modlitwy”. „M. W.” 1923 Nr. 11, str. 12).

Ja jednak odczuwałem poważny nastrój religijny, pomimo że często przychodziły m do głowy myśli „grzeszne”, a nawet poprostu wszeteczne. „Pamiętam, że w dzieciństwie byłem bardzo pobożnym, starałem się modlić się ze skupieniem i z uczuciem czci, należytej Stwórcy, chociaż nie zabezpieczało mnie to wcale przed grzechami i przed kalaniem myśli choćby przez niektóre wyliczane w katechizmach grzechy, wołające o pomstę do nieba i inne nie mniej pikantne. Zresztą katechizm tylko współdziałał z wrażeniami, odbieranymi od życia, a przede wszystkim od faktu różnicy płci w świecie zwierzęcym wogóle, a ludzkim w szczególności”. („M. W.” 1923 Nr. 11, str. 12).

Modliłem się gorąco rano i wieczorem, chociaż wieczorami zwykle przy tem zasypiałem. „Pamiętam, jak w dzieciństwie przed pójściem spać klękałem do wieczornego pacierza i odmawiałem po kolei „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Marja”, „Wierzę w Boga”, „Dziesięcioro Bożego Przykazania” a czasami, w przystępie niezwyklej gorliwości, także inne modlitwy i przykazania. Bywałem często mocno rozespany i klepałem nawpół przytomnie modlitwy, uważane za obowiązkowe. Otóż „Wierzę w Boga” bywało dla mnie zadaniem nie do przecięcia. Powtarza się w niem dwa razy „Ducha Świętego”: najprzód w połączeniu „który się począł z *Ducha Świętego*, narodził się z Maryi Panny” (lub „z Marji Dziewicy”), następnie zaś w połączeniu „*Wierzę w Ducha Świętego*, święty Kościół powszechny...”. Przejechawszy tedy przez pierwszego „Ducha Świętego” i dojechawszy szczęśliwie do drugiego, nie mogłem za nic ruszyć dalej i wracałem automatycznie do pierwszego, t. j. zamiast powiedzieć „wierzę w Ducha Świętego, święty kościół powszechny” bełkotałem ponownie „...Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny”. Znowu dochodziłem do „wierzę w Ducha Świętego” i znowu cofałem się do pierwszego „Ducha Świętego” w towarzystwie Maryi Panny. Da capo al fine. Powtarzało się to kilkakrotnie i ani rusz nie mogłem się wydobyć z „Wierzę w Boga” i przedostać się do „Dziesięciorga Bożego Przykazania”, dopóki nie zdobyłem się na jakiś krok stanowczy, t. j., ocknąwszy się ze stanu drzemki, brałem gwałtownie rozbrat z „Wierzę

w Boga" i rzucałem się rozpaczliwie na fale „Dziesięciorga Przykazań" (wraz z „cudzołożeniem" i „pożądaniem żony bliźniego swego")." („M. W." 1923, № 11, str. 15).

Z wielkiem przejęciem śpiewałem lub recytowałem około Bożego Narodzenia kolendy — w nastroju radosnym, a przed Wielkanocą „Gorzkie Żale" — w nastroju smutnym, przeżywając i odczuwając przytem do pewnego stopnia męki Chrystusowe.

„Kiedy 8 września r. 1855" (w dzień wzięcia Sewastopola przez sprzymierzonych) „kazano mi po raz pierwszy iść do spowiedzi, a następnie do komunji, wywarło to na mnie potężne wrażenie". Bardzo sumiennie i skrupulatnie robiłem „rachunek sumienia". „Skupiłem myśl na tym akcie świętym i na łasce, której dostąpiłem. Nie zwracałem uwagi na to, że mój spowiednik, — o ile pamiętam, jakiś zatabczony bernardyn czy też reformat, — traktował tę sprawę rzemieślniczo, zawodowo, robił mi napomnienia stereotypowe i zadał mi na pokutę odmawianie w ciągu kilku dni pewnej porcji „ojczenaszów" i „zdrowasiek". Dalsze praktykowanie tych „sakramentów" zarówno w domu, jak później w szkole działało na mnie ochładzająco, a bezduszne klepanie wyznaczanych za pokutę „ojczenaszów" i „zdrowasiek" było bardzo dalekie od podniosłego nastroju modlitewnego.

„Boć doprawdy dziwny to pomysł, ażeby łączenia się duszy pobożnej z Bogiem w modlitwie używać jako środka kary, a przez mnożenie modlitwy (5 lub 10 „Pater noster" i „Ave Maria", choćby nawet nie w urzędowym języku Kościoła, ale w języku ojczystym penitenta) nadawać jej cechę bezmyślnego klepania pewnych wyrazów w określonym porządku. Podobnie, używając pracy jako kary dla przestępców, odziera się tę pracę z wszelkiego uroku. Zarówno praca jako też modlitwa powinny być otoczone pewną czcią. Użyte jako narzędzia kary mimowoli wywołują ku sobie odrazę". („M. W." 1923 № 11, str. 12—13).

Prócz tego niektórzy ze spowiedników swojemi pytaniami napowiadali mię na „grzechy", o których jeszcze nie wiedziałem, a ponieważ byłem naturą wysoce zmysłową, więc te indagacje czcigodnych ojców duchownych kalały moją wyobraźnię i deprawowały mię stopniowo.

Ten wpływ deprawujący wywierały także niektóre ustępy z „Historji Świętej", niektóre oddziały Katechizmu, a zwłaszcza

wyliczania różnych egzotycznych grzechów, których kazano mi się uczyć na pamięć. Wyczytany w liczbie „grzechów, wołających o pomstę do nieba” (czy też „do Boga”) „grzech Sodomski” niezmiernie mię zaciekaWił, a że byłem dzieckiem myślącym i chcącym rozumieć to, czego każą mu się uczyć, rozpytywałem na wszystkie strony, co to takiego, i dopóty się nie uspokoiłem, dopóki się nie dowiedziałem, nie pamiętam już od kogo, zdaje się że od jakiegoś rówieśnika. A tymczasem mógłbym przez całe życie nie wiedzieć o tym interesującym grzechu, o ile bym nie został lekarzem, zwłaszcza psychiatrą, folklorystą lub — rzecz oczywista — księdzem.

W epoce swego pierwszego dzieciństwa święcie wierzyłem we wszelkie cuda, starotestamentowe, nowotestamentowe i późniejsze, dokonywane przez samego Boga wielopostaciowego i przez jego wybrańców i wybranki, t. j. przez różnych Świętych, a zwłaszcza przez różne Matki Boskie. Kiedy mi opowiadano o cudach, związanych z Matką Boską Częstochowską, o rzekomym napadzie Husytów na Jasną Górę i o sponiewieraniu przez nich obrazu Cudownego i Hostji Przenajświętszej, dygotałem z oburzenia, a że przy tej sposobności utożsamiano Husytów z Chasydami i wogóle z Żydami-masonami i twierdzono, że to Żydzi Husyci zbeczcęścili tak Świętości katolickie (takie twierdzenia można było słyszeć od niektórych księży, nawet z ambon)*), odzywała się w mej duszy ostra niechęć do „Żydów“, którą hodowały też „Gorzkie Żale“, opiewające ukrzyżowanie i męki Chrystusa.

„Przecież Chrystus był synem Boga, a zarazem zbawicielem ludzkości, który poddał się mękom za grzechy ludzi zgodnie z przepowiedniami proroków, to jest zgodnie z ułożonym przed wiekami programem. I takiego Boga-człowieka „Żydzi“ nietylko nie uznają, ale oddają go na męczarnie i śmierć hańbiącą. Zgódźcie się sami, że wcale nie wyrzutki moralne i potwory moralne zpomiędzy chrześcijan, ale właśnie bardzo uczciwi, bardzo szczerzy i bardzo szlachetni ludzie mogą się oburzyć na Żydów i stać się ich wrogami, naturalnie pod warunkiem, że ci uczciwi, szczerzy i szlachetni ludzie są pozbawieni choćby krzty zmysłu krytycznego, ale za to

*) Ze strony ścisłości historycznej to mieszanie czeskich Husytów z żydowskimi Chasydami przypomina twierdzenia współczesnych nam dygnitarzy kościelnych o tem, że śluby cywilne są wymysłem „bolszewików“.

posiadają łatwo zapalającą się wyobraźnię“ („J. Baudouin de Courtenay. Ze zjazdu autonomistów czyli przedstawicieli narodowości nie-rosyjskich”. Kraków. 1906. Odbitka z „Krytyki”. Str. 24 — 25).

Ale ten mój „antysemityzm” dziecięcy był bardzo niewinny i nie miał w sobie ani cienia pogromowości. Moje najbliższe otoczenie było również wolne od uczuć antysemityzmu napastniczego i tępielielskiego. W związku z prawdziwą religijnością nakaz „miłości bliźniego” przeważał nad fanatyzmem wojowniczym. Patrzyliśmy nie tylko na Żydów, ale wogóle na wszelkie inne zrzeszenia innowiercze z poczuciem wyższości katolickiej i, co najwyżej, litowaliśmy się i ubolewaliśmy nad „poganami” i „heretykami” z powodu, że, nie uznając władzy i nieomylności papieża, skazują siebie na wieczne potępienie. I wogóle w ówczesnym społeczeństwie polskim nie było jeszcze tego wściekłego, fanatycznego i geszefciarskiego antysemityzmu, który, w związku z potężniejącym syjonizmem i szowinizmem żydowskim, zatrął pod koniec XIX i na początku XX wieku atmosferę społeczną i uniemożliwił znośne, spokojne współżycie różnych „ras” i różnych wyznań.

Również mój „nacjonalizm” dziecięcy nie miał w sobie cech fanatyzmu i nienawiści bezwzględnej. Byłem wprawdzie gorącym patriotą polskim, marzyłem o niepodległości Polski i o wskrzeszeniu państwa polskiego, uważałem „Niemców” i „Moskali” za wrogów Polski, pragnąłem wypędzenia ich z ziem polskich w granicach przedrozbiorowych z dodaniem do nich reszty ziem, zamieszkałych częściowo przez Polaków; snułem senne obrazy wielkiej Polski od morza do morza i od Odry do Dniepru, w połączeniu z przyległymi krajami „słowiańskimi”, ale nieubłaganej nienawiści do „wrogów” nigdy w sercu nie żywiłem. Wogóle zdaje mi się, że uczucie nienawiści jest mi obce; mogę je sobie wyobrazić, ale nie mogę go odczuwać.

W dziedzinie życia religijnego wierzyłem bezwzględnie w t. zw. „Objawienie”, nie zastanawiając się nad tem, skąd ono pochodzi. Przecież „objawienie” przechodzi drogą tradycji od człowieka do człowieka, i tylko od człowieka do człowieka. Cofając się jak najdalej wstecz, nikt nie potrafi wskazać wybrańca i szczęśliwca (oczywiście płci męskiej), które-

mu udało się rozmawiać bezpośrednio z bóstwem i odbierać od niego wskazówki dla dwunogich, obdarzonych olbrzymią dozą zrozumiałości i megalomanji. Każdy z nas dowiaduje się o „Objawieniu” od swego otoczenia: od piastunek, od rodziców i wychowawców, od kapłanów danego wyznania, albo istotnie wierzących w możliwość „objawienia”, albo też obłudnie udających, że w nie wierzą. Przestawszy być analfabetami, potwierdzenie legendy objawieniowej znajdujemy w książkach partyjnych.

W każdym razie ja osobiście wierzyłem przez pewien czas w „objawienie boskie”.

Byłem też czcicielem kleru i jego wiernym poddanym. W związku z tem „przypominam sobie z wczesnego dzieciństwa wrażenia niezbyt budujące. Mieszkałem z rodzicami w Porębie, wsi kościelnej niedaleko od Ostrowia i Pułtusa, w dzisiejszej ziemi Łomżyńskiej. Otóż w tej wsi był proboszcz w starszym już wieku, na którego w swej dziecięcej naiwności patrzyłem z wielką czcią, bo zdawało mi się, że głowę jego otacza aureola na podobieństwo promieni i kręgów, okalających na obrazkach głowy świętych płci obojej. Prawdopodobnie memu proboszczowi kurzyło się z czupryny. Otóż o tym czczonym przezemnie księdzu opowiadano sobie poufnie, ale tak, że opowiadania te obijały się o moje uszy, iż miał on kolejno po sobie dwie gospodynie: najprzód matkę a potem córkę, która była też jego własną córką. Prawdopodobnie była to potwarz czy też oszczerstwo; ale już możliwość podobnej potwarzy czy też oszczerstwa przemawia chyba jaskrawo przeciw celibatowi. Ja byłem wówczas jeszcze na tyle naiwny, że w tej kolejności księżyich gospodyń nie widziałem nic zdrożnego“. („Dobrodziejstwa celibatu czyli bezżeństwa księży”. „M. W.” 1923. № 12, str. 4).

„Kiedy w r. 1857 wstąpiłem do klasy trzeciej Gimnazjum Realnego w Warszawie, musiałem wraz z całą klasą i wraz z całą szkołą uczęszczać codziennie przed rozpoczęciem lekcji już o wpół do ósmej zrana do kościoła panien Wizytek na nabożeństwo uczniowskie, odprawiane dla nas przez jednego z księży prefektów. To traktowanie nas jak trzody wyznaniowo musztrowanej musiało prawie we wszystkich nas tłumić i zabijać prawdziwy nastrój religijny i modlitewny indywidualny.

„Urządzane w szkole rekolekcje przed kontrolowaną w sposób policyjny spowiedzią wielkanocną nie wzbudzały w nas wcale nastroju religijnego, ale przeciwnie były traktowane lekceważąco i humorystycznie, jako „kinderbale duchowne” (przeróbka używanego przez naszych katechetów wyrażenia „zabawa duchowna”).” („Różnoraka psychologia modlitwy”. „M. W.” 1923. № 11, str. 13).

O ile sobie przypominam, byliśmy wówczas, przed laty 70-u, zmuszani do spowiadania się tylko raz na rok, koło Wielkanocy, nie tak jak dziś, w dobie ostentacyjnie głoszonej „sanacji moralnej” i uczciwości, kiedy to okólnik ministerjalny nakazuje uczniom szkół średnich spowiadać się trzy razy do roku. Oczywiście postęp jako skutek Konkordatu!

W klasie 5-ej bierzmowałem się, również u panien Witytek, korzystając z przyjazdu jakiegoś biskupa. Chciałem uczestniczyć w jednym z sakramentów wprowadzie nie obowiązujących, ale zalecanych.

„Ostatni raz spowiadałem się w klasie szóstej na wiosnę r. 1861 u znanego filozofa polskiego, księdza pijara Franciszka Krupińskiego. Zachowywał się on całkiem poprawnie, wysłuchiwał mych zwierzeń uważnie, a na pewne dolegliwości „grzechowe” dawał mi bardzo trafne rady hygieniczne z zakresu hydroterapii. Oczywiście, jako zawodowiec, zalecił mi także odmawianie „ojczenaszów” i „zdrowasiek”, boć przecie było to koniecznem przypieczętowaniem spowiedzi wyznaniowej.

„Była to moja ostatnia spowiedź, której musiałem się poddać obowiązkowo jako uczeń gimnazjum. Przeszedłszy z szóstej klasy gimnazjum realnego do Szkoły przygotowawczej do Szkoły Głównej, nie podlegałem już kontroli szkolnej, a moja ówczesna religijność wykluczała potrzebę spowiedzi dobrowolnej. Obłudnikiem zaś nigdy nie byłem i być nie mogłem.

[„Wiem o tem, że wielu ludzi, i to nawet pierwszorzędnych myślicieli, których światopogląd kłóci się zasadniczo z nauką Kościoła urzędowego, uważa za konieczne, dla niewywoływania zgorszenia, brać udział w nabożeństwach i udawać pobożnych. Podobno Karol Darwin, wzorem innych uczonych angielskich, chadzał w święta do kościoła z książką do nabożeństwa pod pachą; bo inaczej byłoby to shocking (rażałoby publiczność). Mnie jednak nie stać na takie uda-

wanie pro publico bono. Chcę pozostawać sobą, nie zaś jakimś surogatem własnej osoby". („M. W." 1923 № 11, str. 13 — 14).

Napoleon I, który nie bardzo był w porządku z przykazaniami boskimi, a zwłaszcza z przykazaniem 5-em, odbywał podobno praktyki religijne i został uznany przez Kościół Chrystusowy. Za jego przykładem rozmaici dostojnicy, prezydenci, marszałkowie, ministrowie i t. d. rozmaitych państw, a w tej liczbie Polski, odbywają przepisane przez Kościół praktyki i uczestniczą w obrzędach, bądź to jako istotnie wierzący (o czym przeważnie można wątpić), bądź też jako udający wierzących ze względów oportunistycznych. Mnie to jednak ani trochę nie wzrusza.

Po ostatniej w życiu spowiedzi.

Tak więc moja ostatnia spowiedź miała miejsce w r. 1861. Później już ani razu się nie spowiadałem.

Możnaby o tem powątpiewać choćby ze względu na to, że przed przystąpieniem do „sakramentu" małżeństwa każdy kontrolowany przez zwierzchność duchowną „katolik" musi przejść przez „sakrament" pokuty, t. j. wypowiadać się, i przynieść od spowiednika urzędowe zaświadczenie. Dla usunięcia podobnych wątpliwości stwierdzam, że pierwszy mój ślub odbył się w kościele ewangelicko-augsburskim w Warszawie, drugi zaś w kościele katolickim Maltańskim w Petersburgu. Ówczesny proboszcz tego kościoła, dziś oczywiście już nieboszczyk, był na tyle delikatny, że się nas wcale nie pytał o spowiedź, pozostawiając widocznie załatwienie się z „sakramentami" przedwstępniemi naszemu sumieniu. Zadowolnił się przyzwoitem honorarjum. Sądzę, że nawet ze stanowiska wyznaniowego postąpił on właściwiej, aniżeli inni księża, wymagający koniecznie świadectwa o odbytej przed ślubem spowiedzi. Wymuszona bowiem ze względów formalnych, obłudna spowiedź bez przekonania uważana jest podobno za „bluźnierstwo", a nawet za „świętokradztwo". Dzięki tolerancji ks. Martynoffa uniknęło się tego bądź co bądź ciężkiego „grzechu". Prócz tego jego uprzejmość dawała tacite (młcząco) w razie czego doskonały pretekst do unieważnienia zawartego bez poprzedniej spowiedzi małżeństwa; za tę uprzejmość należała mu się prawdziwa wdzięczność.

Już w Szkole przygotowawczej do Szkoły Głównej (1861 — 1862) zaczęły się moje poważne wątpliwości religijne. Stopniowo coraz dalej odchodziłem od Kościoła. Wpływały na to: najprzód obserwowanie postępowania kleru, któremu przedewszystkiem chodziło o władzę i panowanie, o wyzysk i geszeft; powtórę zaś sama narzucana wierzącym tradycja religijna, sprzeczna z rozumem i z poczuciem sprawiedliwości.

Po skończeniu Szkoły Głównej, mając lat 21, nie wierzyłem już nie tylko w „nieomyślność“ papieską i w „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny“, nie tylko w nieśmiertelność duszy, ale nawet w Boga wyznaniowego; stałem się, jak to mówią, „ateuszem“ czyli „bezbożnikiem“ i dotychczas być nim nie przestałem.

Pomimo to dzieci swoje chrzciliem, przez konwenans, a także dla tego, że mnie osobiście było to obojętne, a dla drugiej strony miało znaczenie, choćby dla tego, że niechrzczenie byłoby *shocking*. Zresztą nie należy zapominać o stronie prawnej: przy braku w Rosji stanu cywilnego wniesienie nowonarodzonego dziecka do ksiąg ludności nie mogło się obejść bez jakiegoś obrządku wyznaniowego.

Sam też figurowałem w spisach ludności jako „wyznania rzymsko-katolickiego“. Moje „wyznanie paszportowe“ było „rzymsko-katolickie“. To samo wyznanie było wpisane w odpowiedniej rubryce mego „formularnego spiska“ czyli urzędowego „stanu służby“. Chcąc niechcąc tedy musiałem się godzić z tą sprzecznością między memi przekonaniami, między moim światem wewnętrznym a między szyldem, pod którym byłem wniesiony do inwentarza poddanych, z jednej strony, Najjaśniejszego Cesarza Wszechrosji i „Króla Polskiego“, z drugiej zaś strony Jęgo Świętobliwosci Papieży Rzymskiego.

Ulegając stale temu przymusowi, gdzie tylko mogłem i kiedy tylko mogłem wyłamywałem się z pod niego. Przy powtarzających się co kilka lat spisach ludności dla celów statystyki na przeznaczęnej dla mnie kartce w rubryce wyznaniowej wpisywałem albo „bezwyznaniowy“ albo też „żadnego“. Podobnie przy sporządzaniu listy kandydatów na sędziów przysięgłych, kiedy w kancelarji uniwersytetu petersburskiego zapytywano mię o wyznanie, odpowiadałem albo

„nikakowo“ (żadnego), albo też „swojewe sobstwiennawo“ (swego własnego).

Od pełnienia w Petersburgu funkcji sędziego przysięgłego starałem się zawsze w ten lub ów sposób się wykręcić. Raz jednak nie udało mi się i musiałem się zjawić na posiedzenie sądu. Podczas odbierania przysięg przez duchownego prawosławnego (katolickiego przytem nie zaproszono) przewodniczący sądu zwrócił się do mnie z zapytaniem: „pan jest katolik, czy pan się zgodzi przysiąc przed naszym duchownym?“ Ja na to: „proszę uwolnić mnie od wszelkiej przysięgi, ponieważ przysięga jest sprzeczna z memi przekonaniami“. Do mnie przyłączył się drugi przysięgły, profesor Instytutu Górniczego Jakowlew. Na wniosek prokuratora sąd po półtoragodzinnej naradzie obłożył nas grzywną 25-rublową i wydalil z sali posiedzeń. Byliśmy bardzo zadowoleni, bo nie potrzebowaliśmy tracić czasu na zajęcie wątpliwej wartości moralnej. Ponieważ jednak postanowienie Sądu Okręgowego o ukaraniu nas grzywną było sprzeczne z obowiązującym wówczas prawem i praktyką sądową, więc zaskarżyłem je (a za mną mój współtowarzysz niedoli, prof. Jakowlew) przed Izbą Sądową i wygrałem.

Nie przysięgałem też występując parę razy jako świadek, a zamiast przysięgi składałem tylko uroczyste przyrzeczenie, że będę zeznawał prawdę.

W ostatnich latach, „przyjeżdżając do Łodzi na odczyty, bywałem zaraz na wstępie indagowany przez portjera hotelowego lub jego zastępcę, jakiego jestem wyznania. Odpowiadałem: „żadnego, jestem bezwyznaniowy“. To nie mogło im się w głowie pomieścić, ale ja znowu nie mogłem podawać o sobie fałszywego świadectwa. Za drugim razem jeden z pomocników portjera chciał mnie zaliczyć do wyznania „mojżeszowego“, bo oczywiście w jego oczach bezwyznaniowiec a żyd to mniej więcej to samo; jeden i drugi należą do ludzi pośledniejszego gatunku. Ja jednak przeciw swej „mojżeszowości“ stanowczo zaprotestowałem, podobnie jak przeciw swej „rzymsko-katolickości“. („Tolerancja. Równouprawnienie. Wolnomyślicielstwo. Wyznanie paszportowe. Warszawa. 1923“, str. 18 — 19).

Jeszcze w r. 1926, zwróciwszy się do policji ze skargą na piekarnię, z której pochodził nabyty przezemnie chleb

trujący, zostałem zapytany przez urzędnika, spisującego protokół, między innymi także o to, jakiego jestem „wyznania”. Choć trudno zrozumieć, jaki może istnieć związek między moim „wyznaniem” a jakością chleba, to jednak, zapytany, odpowiedziałem: „żadnego”. Protokółista określił mnie jako „bezwyznaniowego”.

„Chociaż sam osobiście stoję poza wszelkimi wyznaniem i sankcjonowanymi i legalizowanymi, to jednak, szanując godność człowieka i jego prawo być tem, czem chce, broniłem wierzących katolików przeciwko zamachom na nich ze strony prawosławnych, broniłem wierzących prawosławnych przeciwko katolikom, wierzących żydów przeciwko zamachom ze strony prawosławnych lub katolików. Każdy z tych wierzących chciał mieć swego boga wyznaniowego, nie zaś boga przemocą narzuconego”.

(„Komu i na co potrzebny jest Bóg?” „M. W.” 1925 № 1, str. 11).

Dla tych ludzi ich religja, utożsamiana z wyznaniem, była jedynym elementem uszlachetniającym i uszczęśliwiającym, jedynym elementem, wznoszącym ich w ich własnych oczach ponad poziom bydlęcia; i tylko brutalny cham z instynktami sadystycznymi mógł ich tego pozbawiać.

Ale co do mnie osobiście, to również tylko brutalny cham i cynik klerykalny może mi narzucać jakieś wyznanie, pomimo że jestem człowiekiem absolutnie pozawyznaniowym. Niestety, ja sam, w stosunku do siebie samego, grałem rolę takiego chama i cynika, nie zrywając z siebie sprzecznych z moimi przekonaniami pęt wyznaniowych. Był to jeden z objawów ludzkiej podłości i tchórzostwa.

Poczucie ohydy podobnego udawania rośnie stopniowo, coraz bardziej potężnieje i w końcu staje się nie do zniesienia, tak że nareszcie człowiek sobie powiada: *trzeba z tem raz skończyć*.

Moje współdziałanie z klerem katolickim

Chociaż ze swych uczuć, zapatrywań i przekonań pozareligijnych nie robiłem tajemnicy, jednakże, pozostając oficjalnie w łonie Kościoła katolickiego, uchodziłem i byłem uważany za wiernego syna tego Kościoła, a przynajmniej za jego sympatyka.

Nawiasem mówiąc, w Rosji carskiej moje położenie pod tym względem było położeniem bez wyjścia. Ponieważ bezwyznaniowość i pozawyznaniowość były tam niedopuszczalne, a nawet uważane za występki, więc wystąpić z Kościoła katolickiego mogłem jedynie przez zmianę wyznania, t. j. wstępując do jednego z innych Kościołów chrześcijańskich: albo do jednego z wyznań protestanckich, albo też do Kościoła prawosławnego. To ostatnie byłoby krokiem, pozbawiającym wszelkiej swobody ruchów w tej dziedzinie: *lasciate ogni speranza voi ch'entrate* (porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wstępujecie); boć przecie próba zerwania z prawosławiem była karana w Rosji jako przestępstwo kryminalne.

Niektórzy dostojnicy kościelni, chociaż z pewnością wiedzieli o moim indyferentyzmie wyznaniowym, zwracali się jednak do mnie z prośbami o załatwianie pewnych spraw poufnych.

Przez cały czas swego pobytu w Kazaniu (1875 — 1883) wcale nie uczęszczałem do kościoła i wogóle stałem zdala od proboszcza miejscowego i jego otoczenia. Głównymi filarami Kościoła katolickiego, syndykami i t. p., byli polacy z intendentury wojskowej lub z leśnictwa, z których niektórzy mieli procesy o rozmaite nadużycia pieniężne. (Ja sam w charakterze sędziego przysięgłego uczestniłem raz w sądzie nad takimi łapownikami i złodziejami, ale oczywiście bardzo pobożnymi i prawowiernymi katolikami). Pomimo to pod koniec mego tam pobytu pisał do mnie internowany w Jarosławiu (nie galicyjskim, ale rosyjskim) arcybiskup Feliński, prosząc o pośrednictwo w doręczaniu zapomóg dwum wracającym z zesłania syberyjskiego a przebywającym czasowo w Kazaniu księżom (jeden z nich był w domu dla obłąkanych). Dodał przytem, Feliński, że zwraca się do mnie, ponieważ do miejscowego proboszcza, z powodu jego prowadzenia się, nie ma zaufania. Wymieniliśmy ze sobą kilka listów w tej sprawie, a, o ile sobie przypominam, ksiądz arcybiskup przysłał na moje ręce dla swych pupilów kilkaset rubli.

W Dorpacie (1883 — 1893) zastałem słynnego księdza Pietkiewicza, proboszcza i wykładającego w uniwersytecie religję katolicką dla studentów katolików. Swojami kazaniem i niemieckimi, a nawet swemi mowami pogrzebowymi kapłan

ten wzbudzał ogólną wesołość. Na pogrzebie jednego z nieboszczyków nawet jego rodzony syn, prorektor uniwersytetu Wikszeński musiał się śmiać, a niektórzy z obecnych, dusząc się od śmiechu, dla niewywoływania zgorszenia, pochowali się do rowu. Podczas zaś jednego ze swych kazań czcigodny ksiądz „profesor”, polemizując z Darwinem, wskazał ręką na krzyżyk i zawołał: „ist das ein gekreuzigter Affe?” (czyż jest to ukrzyżowana małpa?). O ile było to z korzyścią dla Kościoła rzymsko-katolickiego, niech rozstrzygnie łaskawy czytelnik.

Ponieważ opowiadano o tych występach pajacowskich szanownego duszpasterza, więc, chociaż nie miałem wogóle zwyczaju chodzić do kościoła, to jednak pozwoliłem sobie parę razy pokazać się w kościele dorpacim dla wysłuchania humorystycznych popisów Pietkiewicza. Jeden raz zjawiłem się w białym letnim ubraniu. To dało asumpt złotoustemu kaznodziei do wypowiedzenia (oczywiście po niemiecku) następującego zwrotu: „masz na sobie szatę białą, a duszę masz czarną”.

Podobnie w latach przedpowstaniowych, 1861 i 1862, uczęszczałem pilnie, jako na *curiosa*, na wygłaszane w katedrze Św. Jana w Warszawie słynne „konferencje” polityczne agentów walczącego wówczas z „podziemnym” „rządem narodowym” arcybiskupa Felińskiego, mianowicie na „konferencje” głośnego później także w Krakowie księdza Goljana, a następnie na „konferencje” młodziutkiego wówczas, ale bardzo uczonego i karmiącego słuchaczy cytatami z „Objawienia Świętego Jana” w oryginale greckim księdza Jazdżewskiego, późniejszego posła do sejmu pruskiego i, zdaje się, także do parlamentu niemieckiego. Przy wysłuchiowaniu pikantnych ekspektoracji i wynurzeń tych obdarzonych bojowym temperamentem obrońców istniejącego porządku w „duchownej sukience” nie chodziło mi wcale o ich budujący wpływ na moją religijność, ale tylko o odbieranie silnych wrażeń od ich wojowniczych i bądź co bądź prowokacyjnych występów.

Zastrzegam się przytem, że, zestawiając warszawskich kaznodziejów z ich dorpacim kolegą, czynię to jedynie ze swego subiektywnego stanowiska, jako widza i słuchacza. Obiektywnie rzecz ujmując, niewolno stawiać na równi bardzo

subtelnych i wysoce wykształconych pomocników margrabiego Wielopolskiego i arcybiskupa Felińskiego ze sprośnym Falstaffem dorpackim, chociaż, według nauki Kosciola, ten sprośny Falstaff, jako kapłan katolicki, posiadał nadprzyrodzoną moc zarówno „związywania” i „rozwiązywania” na ziemi tego, co automatycznie musiało się „związywać” i „rozwiązywać” w niebie, jako też moc przymusowej transsubstancjalizacji chleba i wina w ciało i krew bóstwa.

Kiedy po kilku latach mego pobytu w Dorpacie przedstawiciel uniwersytecki i syndyk kościoła katolickiego z ramienia uniwersytetu, profesor matematyki Helmling, wskutek starć z ks. Pietkiewiczem, zrzekł się tej godności, uniwersytet, dzięki memu nominalnemu „katolicyzmowi”, postanowił powierzyć ją mnie. Również sam ks. Pietkiewicz prosił o zamianowanie mnie syndykiem. Liczył bowiem na to, że, jako nie uczęszczający na nabożeństwa i wogóle obojętny pod względem religijnym, nie będę również wtrącał się do spraw zarządu majątkiem kościelnym i będę patrzył przez palce na jego, Pietkiewicza, nadużycia.

Ja jednak nieco inaczej zapatrywałem się na wzięte na siebie obowiązki wobec parafjan. Choć mi się to wcale nie uśmiechało, ustąpiłem naleganiom zarządu uniwersytetu i zostałem syndykiem kościoła katolickiego w Dorpacie. Biedny Pietkiewicz zawiódł się na mnie. Zaraz po objęciu urzędu przystąpiłem do zaznajomienia się ze stanem majątku kościelnego i zażądałem od proboszcza zdania sprawy i pokazania mi ksiąg i rachunków. To usposobiło go względem mnie wrogo, tak że zaczął walczyć ze mną za pomocą oszczerstw i denuncjacji, wskazując władzom na mój „demoralizujący wpływ” na młodzież uniwersytecką.

Wkrótce spłonął drewniany budynek, mieszczący w sobie obok „kościółka” na dole mieszkanie księdza i wynajmowane prywatne mieszkanie na pierwszym piętrze, także nad samym ołtarzem. Prowadząca śledztwo początkowe policja zakomunikowała mi poufnie, że wszelkie poszlaki naprowadzają ją na podejrzenie, że sprawcą pożaru był sam Pietkiewicz, ale że, dla uniknięcia skandalu, umorzyła sprawę. O ile to podejrzenie policji było usprawiedliwione, nie wiem. W każdym razie ciążyło ono nad czcigodnym kapłanem.

Pietkiewicz tryumfował, urządził składkę na odbudowę

kościół i plebanji w Dorpacie i miał zamiar zająć się sam tą odbudową. Niestety znalazł we mnie niepożądanego i nienawistnego kontrolera, który sprawdzał wszystkie wpływy i wydatki i nie pozwalał samemu odbudowcy na nadużycia. Pietkiewicz musiał przedewszystkiem ułożyć plan odbudowy, który to plan powinien być zatwierdzony przez konsystorz metropolitalny w Petersburgu. Ponieważ plan był sprzeczny z obowiązującym prawem kanonicznym (Pietkiewicz, dla zwiększenia swoich dochodów, chciał zatrzymać w nowym budynku wynajmowane mieszkanie prywatne, umieszczone na pierwszym piętrze nad ołtarzem), więc Konsystorz nie mógł tego zatwierdzić i zwrócił się do mnie, jako do syndyka, ażeby z całą energią bronił prawa przeciw jego gwałcicielowi. Otrzymałem w tej sprawie od kanoników i członków Konsystorza kilka listów, w których przy charakterystyce Pietkiewicza użyto bardzo ostrych wyrazów, w rodzaju „łajdak“, „infamis“ i t. p. Ostatecznie musiał się on obejść smakiem i nie mógł przystąpić do odbudowy. Kościół mурowany, oddzielony od plebanji, stanął już po jego śmierci.

Niepowodzenie doprowadzało go do wściekłości. W walce z Konsystorzem i ze mną nie przebierał w środkach. Mnie starał się szkodzić wszelkimi sposobami, oczerniając mnie przed kuratorem, przed gubernatorem, przed naczelnikiem żandarmów. Z polecenia kuratora rektor wzywał mnie do siebie i robił mi urzędowe wymówki. Sam kurator, przyjechawszy z Rygi i widząc się ze mną, czuł się jakoś nieswojo i nie dotykał wcale tej drażliwej sprawy.

Nareszcie pułkownik czy też generał żandarmów, wsławiony we wspomnieniach Kennana o Syberji okrutnik, znęcający się nad „katorżnikami“ w Karze, Nikolin, przeniesiony wówczas z Kary do Dorpatu, pod wpływem stałych „donosów“ Pietkiewicza na moją „nieprawomyślność polityczną“, wezwał mnie do siebie i radził mi, ażeby się ukorzyłem przed Pietkiewiczem, bo inaczej mogę to srogo odpokutować. (Dodam tu, że w sam dzień mego wyjazdu z Jurjewa, t. j. z dawniejszego Dorpatu, do Krakowa, 25 czerwca r. 1893, żandarm Nikolin rozstał się z tym światem).

Nie zadawalniając się denuncjowaniem mnie przed władzami carskimi, szanowny mój antagonistą starał się zgubić mnie także w oczach „opinji publicznej“. Wydrukował w war-

szawskim „Przeglądzie Katolickim“ korespondencję z Dorpatu, w której poprostu oskarżał mię o kradzież pieniędzy kościelnych. Chociaż unikam wszelkiego prawowania się, w danym jednak razie nie mogłem jakoś milczeć i wytoczyłem Pietkiewiczowi proces o oszczerstwo. Rozprawa sądowa odbyła się w Dorpacie na jednej z sesji wyjazdowych Sądu Okręgowego Ryńskiego. Gdybym się był uparł, Pietkiewicz byłby skazany. Jednakże prezes sądu zaproponował nam pogodzenie się. Pietkiewicz chwycił się tego skwapliwie: „*ja soglasien*“ (zgadzam się). Na zwrócone do mnie pytanie przewodniczącego odpowiedziałem: „*ja także się zgadzam, o ile ten pan odwoła swoje oszczerstwo i przyzna się do winy*“. „*Ja otkazywajus i proszu izwinienija*“ (wyrzekam się i proszę o przebaczenie) — odrzekł Pietkiewicz i wyciągnął do mnie rękę, której ja nie uściśnałem i cofnąłem swoją. Kiedy zaś przewodniczący zapytał mię z pewnym wyrzutem „*czto że wy eto tak*“ (dla czegoż pan tak?), odpowiedziałem: „*eto už mojo dielo*“ (to już moja rzecz).

Wtedy nie byłem tak wyrozumiały i tolerancyjny, jak dzisiaj. Dziś uściśnałbym prawdopodobnie dłoń Pietkiewicza, bo jestem tego zdania, że największy nikczemnik i niegodziwiec zasługuje na litość i wyrozumiałość.

W miesiąc po tej rozprawie sądowej Pietkiewicz umarł. Zdaje się, że wojna zę mną silnie podkopała jego zdrowie i przyśpieszyła jego śmierć.

Kompromitując Kościół katolicki, ksiądz Pietkiewicz działał, może nawet pomimo woli, na korzyść wojującego z katolicyzmem prawosławia.

Na jednym z zebrań profesorskich duchowny prawosławny i profesor teologii prawosławnej uniwersytetu dorpackiego zwierzał mi się, że poprzedni kurator, Kapustin, dla położenia końca skandalom, związanym z osobą Pietkiewicza, chciał go usunąć z uniwersytetu i zapytywał o radę mego rozmówcę. Ten zaś, dbały o interesy prawosławia, zauważył: „*Pomitujtie, Michail Nikołajewicz, wied' my głupieje jewo nie najdiom, a eto dla nas wieśma żelatielno*“ (Zmiłuj się pan, Michale Mikołajewiczu, przecież my głupszego od niego nie znajdziemy, a to dla nas bardzo pożądane).

Tak więc brałem udział w bezkrwawej wojnie, w której po jednej stronie stałem ja wraz z arcybiskupem - metro-

politą Mohilewskim i wraz z Konsystorzem rzymsko-katolickim, po drugiej zaś stronie sprzymierzeni: ksiądz Pietkiewicz, kurator okręgu naukowego, gubernator, Kościół prawosławny i żandarmi.

Na polu świeckiem w walce o prawo i własność publiczną święciłem braterstwo broni z klerem katolickim.

ROZDZIAŁ 3.

Moje dotychczasowe wystąpienia „przeciw Kościołowi“.

Były to wystąpienia „przeciw Kościołowi“ tylko ze stanowiska kleru, żadnego nieograniczonej władzy i dążącego w tym celu do tumanienia ludku bożego i do zyskiwania sobie poparcia u kierujących się obłudą i geszeftem władz świeckich, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Jeżeli zaś nam chodzi o prawdziwą wiarę, o oczyszczenie Kościoła od parszywych owiec, to te moje wystąpienia były wystąpieniami na korzyść Kościoła.

Na dowód tego przytaczam niektóre ustępy z moich broszur i artykułów.

1.

„Może i ja łudzę się co do stanu swego umysłu, ale zdaje mi się, że mam prawo uważać siebie i za zdecydowanego „ateusza“ i za „wolnomyśliciela“ jednocześnie.“

(„Czy Ateizm i Myśl Wolna wykluczają się nawzajem“ „M. W.“ 1924 № 1 str. 9).

2.

„Ateizm ma być „negacją; twierdzi bowiem, jakoby, że nie istnieje żadna istota, wywierająca wpływ na bieg wszechświata. Zapytuję tedy: Skąd wiemy o tej „istocie“? Przecież dowiadujemy się zarówno o niej samej, jako też o wszelkich „objawieniach boskich“, o „naukach i wskazaniach bogów“ i t. d., jedynie tylko od takich samych ludzi, jakimi my sami jesteśmy, od ludzi, powtarzających te rzekome prawdy za

swymi poprzednikami. Wiarę w tę „istotę“ z przyległościami wpojono w nieodporny i niekrytyczny umysł dziecka i wogóle słabogłowca, i to ma nam wystarczać. Należałoby żądać nie bezmyślnego powtarzania pacierza za panią matką, nie przysięgania na słowa mistrza (*jurare in verba magistri*), ale dowodów istotnie przekonujących. Takich dowodów niema i być nie może. Ani „ateusz“, ani nikt inny nie może negować tego, czego istnienia nie da się racjonalnie udowodnić. Najprzód dowiedźcie, ale dowiedźcie rozumowo, nie zaś frazesami, zabarwionemi poezją i sentymentem, a dopiero później pomówimy. Co więcej, „ateusz“ wcale nie neguje; on powiada jedynie, że nie wie, bo to jest niedostępne dla jego umysłu” (ib., str. 9).

3.

„Jakiem prawem ja, nie będący wcale „chrześcijaninem”, pozwoliłem sobie nadużyć prawa gościnności?”

(„Mądralin”, „M. W.” 1924 № 4, str. 17).

„Ś. p. profesor Eligjusz Niewiadomski, jako, z jednej strony, pracownik naukowy, z drugiej zaś nietylko jako chrześcijanin i katolik wierzący i praktykujący, ale także jako „nieśmiertelny bohater” i „święty narodowy”, posiadał wszelkie kwalifikacje do tego, ażeby korzystać w całej pełni z odpoczynku w Mądralinie. Mnie zaś, jako „niedowiarkowi”, nie wyznającemu żadnych dogmatów, ani „chrześcijańskich”, ani jakichkolwiekbądź innych, wara od tego”. (ib. 17—18).

„Wykluczeni z niego” (t. j. z Mądralina) „żydzi, jak również karaici (karaimowie), muzułmanie, buddyści, szynotoiści, szamaniści i t. d., wogóle wszelcy ludzie, uznający dogmaty tego lub owego wyznania, są bliżsi „chrześcijaństwu”, aniżeli absolutni bezwyznaniowcy, do jakich ja, niestety, należę. Jako człowiek całkowicie pozakościółowy, pozawyznaniowy i nie czujący potrzeby uznawania jakiegokolwiek bóstwa, stworzonego na obraz i podobieństwo człowieka (a innego bóstwa niema i być nie może), stoję od chrześcijaństwa bez porównania dalej, aniżeli wszyscy wierzący jakiegokolwiekbądź gatunku i odmiany.

„Oczywiście zarówno wszelcy „poszukiwacze boga” na własną rękę, jako też wszelcy wyznawcy „myśli karnej i zorganizowanej” mają daleko więcej prawa do korzystania

z raju Mądralińskiego, aniżeli ja. Co więcej, ponieważ dogmaty polityczne i społeczne są kwiatkami z tego samego ogródka, co i dogmaty wyznaniowe, a fanatyzm partyjny staje godnie obok fanatyzmu religijnego, więc wszelcy rewolucjoniści i kontrrewolucjoniści, wszelcy „komuniści”, „bolszewicy” i t. d., o ile są polakami i pracownikami naukowymi, mogą z większem prawem upominać się o przytułek w Mądralinie, aniżeli taki „niedowiarek”, jak ja. Samo przez się się rozumie, że mają przedemną pierwszeństwo wszelcy obrządkowcy i komedjanci, w rodzaju „masonów”, czcicieli szatana, odprawiaczy czarnych mszy i innych tego rodzaju praktyk budujących”. (ib. 18).

„Chodzi nie o metrykę, nie o świadectwo policyjne, ale o to, czem jest człowiek we własnem przekonaniu; chodzi o jego istotę psychiczną, o jego indywidualność.

„Jestem zasadniczym wrogiem wszelkiego udawania, wszelkiej obłudy, wszelkiej „fałszywej fasji”. Nie chcę się podszywać pod to, co mi się, zgodnie z prawdą, nie należy.

„Jak dawniej polak, udający rosjanina i przyjmujący prawosławie dla dostania posady lub zyskania pewnych przywilejów, a dziś znowu jak rosjanin, podszywający się dla tych samych celów pod polskość, jest tak zwaną przez Włochów *figura porca* („postać świńska”) czyli po polsku szubrawcem, tak samo ja byłbym we własnych oczach szubrawcem, gdybym przestawał być sobą, a stawał się jakąś podstawioną osobistością.

„Jak prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski ani w aktach sprawy, ani we własnem sumieniu nie mógł znaleźć pobudek do ułaskawienia obłąkańca i fanatyka Niewiadomskiego, tak też ja ani we własnem sumieniu, ani w żadnych innych okolicznościach nie znalazłbym dla siebie usprawiedliwienia, gdybym sobie pozwolił korzystać z tego, co mi się pod żadnym pozorem nie należy.

„Chrystus zabraniał rzucać „szczeniętom” chleb, przeznaczony dla „dzieci”. Gdybym ja za pomocą fałszywego świadectwa przeszwarcowywał się do Mądralina, byłbym właśnie jednym ze szczeniaków, krzywdzących dzieci prawdziwie „chrześcijańskie”. Samozwańczo zabierałbym miejsce zasłużonemu, mającemu na to niezaprzeczone prawo

„Ze względu na moje przekonania, dla mego trupa nie ma miejsca ani na Powązkach, ani na Bródnie, ani na Woli,

ani na żadnym wogóle cmentarzu wyznaniowym. Co najwyżej może on być pochowany częścią w słojach ze spirytusem, mieszczących pewne części ciała, krajanego na stołach sekcyjnych, częścią zaś w dołach dla trupów krajanych. Jestto prosta konsekwencja czyli następstwo moich żądań, wypowiedzianym w artykule „Orientacje trupy”. (M. W. 1924 № 3)” (ib. str. 18 — 19).

4.

„Mnie osobiście — a może także i niektórym innym osobom — Bóg jest całkiem niepotrzebny.

„Ze strony rozumowej zwykły dotychczasowy Bóg, czy też zwykli dotychczasowi bogowie nie mogli być niczem innem, jak tylko ludźmi, ludźmi powiększonymi i rozrosłymi do olbrzymich rozmiarów, ale zawsze tylko ludźmi. Może to być nadczołowiek, ale zawsze tylko z właściwościami ludzkimi, zarówno w dziedzinie intelektualnej, jak i moralnej. Nazwa, wyraz „Bóg”, „bogowie”, „bóstwa” i im podobne prowadzi do wytworzenia mitu teogonicznego (t. j. objaśniającego powstanie boga), a wrodzony myśleniu ludzkiemu antropomorfizm obdarza Boga ciałem i duszą, na podobieństwo człowieka, i tylko człowieka. W ten sam mniej więcej sposób powstają pojedynczy bogowie politeistyczni, powstają anieli, anioły stróże, djabły kusiciele i inne istoty rzekomo nieziemskie. Boć człowiek nie może się nigdy wznieść ponad człowieka. Z jednej strony porządkuje przyrodę na wzór i podobieństwo własne, z drugiej zaś strony rozszerza siebie w sfery rzekomo nadziemskie i niebieskie również na wzór i podobieństwo własne.

„Przyjęcie Boga jako hipotezy naukowej nie posuwa ani na krok naszej prawdziwej wiedzy o wszechświecie.”

„Uczuciowo również nie potrzebuję Boga. Widzę w świecie tyle zła, tyle niesprawiedliwości, tyle okrucieństw, że nie mogę odpowiedzialnością za te wszystkie ohydy obarczać nietylko sprawiedliwego, ale także dobrotliwego i miłosiernego Ojca. Zwalanie win, popełnianych przez bestję ludzką, na stwórcę i opatrność jest wprawdzie bardzo wygodne, ale zarazem bezmyślne i niemoralne”.

(„Komu i na co potrzebny jest Bóg?” „M. W.” 1925 № 1, str. 13 — 14).

„...modlić się do takiej istoty niepojętej i we wszystkich kierunkach nieskończonej, traktować ją za pan brat, przypuszczać, że to coś, napełniające i ogarniające świat cały, nigdzie i nigdy, t. j. w przestrzeni i w czasie, ani się zaczynający, ani się kończący, że to coś może się interesować nędznym robakiem ludzkim na kuli ziemskiej, że może się stawiać do niego podobnem, jest również objawem szalonej, potwornej, prawdziwie ludzkiej megalomanji.

„Dla mnie zwykły „Bóg” jest tylko wyrazem, wyrazem wprowadzie wcielany i antropomorfizowanym, wyrazem, kojarzonym z najróżnorodniejszymi wyobrażeniami zjawisk z życia przyrody, społeczeństwa i psychiki ludzkiej, ale zawsze tylko wyrazem i niczem więcej.

„Takie jest moje osobiste zapatrywanie, podzielane może przez niektóre inne osobniki dwunogie a bezskrzydłe. To mi jednak nie przeszkadza uznawać i szanować potrzebę Boga w innych ludziach, nie tylko niższych, ale także wyższych umysłowo, wyższych, głębszych i nierównie bardziej twórczych w dziedzinie wiedzy, nauki i sztuki.

„Z całą żarliwością bronię ich prawa do wierzenia w Boga, bądź to wyznaniowego, bądź też pozawyznaniowego, bronię ich zarówno przed zamachami ze strony nawracaczy obcowyznaniowych, jako też przed terrorem tępogłowych prawomysłnych „bezbożników”, lubujących się w dręczeniu i pastwieniu się dla tego tylko, że dręczenie i pastwienie się rozkosz im sprawia.

„W zamian za to żądam uznania mej bezwyznaniowości czy też pozawyznaniowości, żądam uznania mego prawa do niewierzenia, t. j. do abstynencji od marzeń sennych, przekraczających osiągalność ograniczonego umysłu ludzkiego”. (ib. 14).

5

„Pani przypuszcza, że ja wierzę „w Istotę wyższą, którą my zwiemy Bogiem”.

„Muszę temu stanowczo zaprzeczyć.”

„Wszystkie te wyrazy: „wierzyć“, „istota“, bóg“, „zwać“ i t. p. powstały w myśleniu ludzkim i przez obcowanie ludzi między sobą oraz przez obcowanie ludzi z otaczającą ich przyrodą. Wszelkie rzeczy, istoty, bóstwa i t. d. stwo-

rzył sobie człowiek, na obraz i podobieństwo własne. „Bóg“, tak jak jest on ujmowany przez umysł ludzki, nie może być niczem innym. jak tylko wyrazem, wyrazem, wprawdzie substancjalizowanym (rzeczownikowionym) i antropomorfizowanym (człowieczowym), ale tylko wyrazem.

„Świat pozaludzki oczywiście istnieje, ale jest on wielkością, z myśleniem ludzkim całkiem niewspółmierną. Szkoła czasu i energii umysłowej na zagłębianie się w to, czego zgłębić niepodobna.

„Swoj pogląd na te sprawy rozwinąłem w artykule „Komu i na co potrzebny jest Bóg?“ („M. W.“ 1925 Nr. 1, zwłaszcza str. 13—14).

„Ja mogę być przekonany, mogę sądzić, mogę przypuszczać, może mi się zdawać, mogę mniemać, mogę wierzyć komuś, a nawet grzeszyć pod tym względem łatwowiernością i naiwnością, ale wierzyć w kogo lub. w co dziś już nie potrafię. Wierzenie w cokolwiekbądź, a więc także w jakiegokolwiekbądź bóstwa, należy u mnie do przeszłości, jestto dla mnie „überwundener Standpunkt“ (stanowisko którego się pozbyłem).

„Wierzę innym, że wierzą w Boga, ale sam nie wierzę ani w Boga, ani w człowieka.

„Nie jestto jednak „nihilizm“, prowadzący do bezwzględnej anarchii intelektualnej i moralnej. Przeciwnie, pomimo tylu rozczarowań i dowodów nikczemności ludzkiej, jestem na tyle naiwny, że widzę możliwość oparcia moralności na drzemniących w duszy ludzkiej pierwiastkach współczucia, solidarności społecznej i rozumnego, na daleką metę obliczonego egoizmu, moralności, nie potrzebującej straszaków, zwanych czy to bogami, czy też djabłami.

„Dotychczasowa moralność, oparta na wierze w Boga, nie zapobiega takim zbrodniom, jak wojny, jak „kara śmierci“, jak „niewolnictwo“ i inne tym podobne ohydy“.

(„Wierzyć w kogo lub w co a wierzyć komu. Odpowiedź pani Helenie Mycielskiej“. „W. M.“ 1925 Nr. 2, str. 75-76).

Obchodzę się całkowicie bez Boga, wywodząc wszystkie swe postulaty i ideały etyczne z ukrytych w duszy ludzkiej pierwiastków współczucia i solidarności rodzaju ludzkiego. (Z niewydrukowanej odpowiedzi redakcyjnej p. A. Wojcieszakowi w Poznaniu).

„Jestem na tyle naiwny, po prostu praktycznie głupi, że nie mogę udawać wierzącego, kiedy nim nie jestem. Nie chcę być ani farbowanym lisem, ani też osobistością podstawioną. W „Myśli Wolnej“ z r. 1924 w artykule „Mądralin“ wyłuszczyłem, że, nie wierząc w żadne dogmaty, ani katolickie, ani żydowskie, ani żadne inne, będąc bezwzględnym pozawyznaniowcem, popełniłbym czyn zdrożny, a nawet nikczemny, gdybym chciał korzystać z dobrodziejstw, przysługujących jedynie prawowiernym chrześcijanom. Prawdziwym chrześcijaninowi nierównie bliższy jest żyd wierzący, muzułmanin wierzący, buddysta wierzący, bezwyznaniowiec wierzący, aniżeli taki absolutny pozawyznaniowiec, taki „metateusz“ (t. j. ani czciciel tego lub owego bóstwa, ani panteista, ani deista, ani „poszukiwacz boga“, ani ateusz), jak ja. Podobnie do uczestniczenia w towarzystwie chrześcijańskim, zwalczającym antysemityzm, mają nierównie większe niż ja prawo wszyscy inni wierzący, czy to chrzczeni, czy też niechrzczeni, czy to obrzezani, czy też nieobrzezani, czy to należący do wyznań gromadnych, czy też głęboko religijni na własną rękę“. („Towarzystwo opieki nad... żydami“. „Życie Wolne“ 1927 Nr. 1, str. 10).

W „Myśli Wolnej“ 1925 Nr. 1, str. 1—4 w artykule „Od Redakcji“ dałem określenie zadań „myśli wolnej“, tak ja je pojmuję.

Za moje „antykatolickie“ artykuły „Konkordat na zimno“ („M. W.“ 1925 № 4, str. 150 — 152), „Tryumf przemocy, tchórzostwa i obłudy“ („Życie Wolne“ 1927 № 4, str. 12—13), za cały szereg innych artykułów, za moje broszury „Myśli nieoportunistyczne“ (Kraków 1898), „Tolerancja, Równouprawienie, Wolnomysłicielstwo, Wyznanie paszportowe“ (Warszawa 1923), „Wyznaniowe i pozawyznaniowe śluby i rozwody, (Z powodu oczekiwanej reformy prawa małżeńskiego)“ (Warszawa. 1926) i inne, za to, że, jako nie-katolik, jestem przeciw zawieszaniu krzyżów w audytorjach i zakładach uniwersyteckich, za to, że, jako nie-katolik, stoję za absolutny rozdział Kościołów od państwa, za to, że zarówno okólnik p. ministra Bartla o przymusie pełnienia obrządków wyznaniowych przez uczniów szkół średnich, jako też odmówienie

bezwyznaniowej p. Irenie Stróżeckiej, pomimo że zdała wszystkie egzaminy z wyjątkiem egzaminu z religji, wydania świadectwa dojrzałości nietylko przez Min. W.R. i O. P., ale także przez Najwyższy Trybunał Administracyjny(!), uważam za szkodliwe dla państwa, dla społeczeństwa i dla samego Kościoła (p. mój artykuł „Śladami Rosji carskiej“ „Życie Wolne“ 1927, Nr. 2, str. 9—10), za wszystkie powyżej przytoczone wyjątki z moich broszur i artykułów, jednym słowem za wszelkie podobne oświadczenia i wystąpienia publiczne „przeciw Kościołowi“, jako za zuchwałe objawy krnąbrności i nieposłuszeństwa zwierzchności kościelnej, Kościół Święty, matka nasza, powinien być sam wyrzucić mię ze swego łona.

O ile Kościół dba o swoją godność, o czystość swego zespołu, o ile jest uczciwy, powinien sam usuwać obłudników i zdrajców, a zatrzymywać w swem łonie tylko prawdziwie wierzących i wiernych. Powinno mu chodzić nie o liczbę rzekomych wyznawców, ale o czystość wiary szczerych i nieobłudnych zwolenników. Inaczej grozi mu martwota, zgnilizna, rozkład i upadek.

ROZDZIAŁ 4.

Czy ja, będąc takim jakim jestem, mam prawo uchodzić za katolika.

Ogólna moja charakterystyka pod względem wyznaniowości i religijności.

Nie jestem nietylko katolikiem, nietylko wogóle chrześcijaninem, nietylko jakimkolwiekbyź wyznaniowcem, nietylko człowiekiem osobiście religijnym, ale wogóle stoję poza wszelkiem wyznaniem, poza wszelką religją, czy to stałową, zbiorową, czy też jednostkową, indywidualną, a to zarówno ze strony zewnętrznej, powierzchownej, jako też ze strony wewnętrznej, ze strony uczuć, myśli i przekonań.

Ze strony zewnętrznej nie jestem praktykantem wyznaniowym i nigdy, ze względu na „opinię publiczną“ i dla zyskania sobie łaski zwierzchników, nie udawałem praktykanta. Po ostatniej w życiu spowiedzi nigdy nie odmawiałem żad-

nych modlitw, nie uczęszczałem na nabożeństwa kościelne, ani razu się nie spowiadałem, nie całowałem biskupów w rękę, nawet samego nieomylnego nie pocałowałbym w pantofel. O posłuszeństwie matce naszej Kościołowi Świętemu mowy u mnie być nie może; nigdy się na to nie zgodzę, ażeby nie tylko Macoch Częstochowski, Pietkiewicz dorpacki, carsławny biskup Żyliński wileński, ale nawet najporządniejszy i najuczciwszy ksiądz mógł kierować mojem postępowaniem i dawać mi wskazówki moralności.

Co zaś do strony wewnętrznej, to, o ile siebie pamiętam, po ostatniej spowiedzi w r. 1861 nigdy nie znajdowałem się w nastroju pobożnym i dewocyjnym, nigdy nie odczuwałem tęsknoty religijnej i pędu mistycznego do jednoczenia się i zlewania się z „bóstwem“. Gdybym za pomocą modlitwy chciał nawiązywać styczność z Panem nad Pany, pretensja do obcowania z tak wielkim panem byłaby z mej strony dowodem potwornej megalomanji. Może jestto swoiste kalectwo, próżnia i pustka w rodzaju braku słuchu muzycznego, w rodzaju przytępienia i ostatecznego zamarcia zmysłów: słuchu, wzroku, smaku, powonienia, dotyku. Być może. Na to niema rady. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że w gminach górskich, w których wszyscy mieszkańcy mają wole pod gardłem, człowiek, pozbawiony tej koniecznej ozdoby, uważany jest za kalekę.

Obce mi są wszelkie wierzenia osobiste, obcą mi jest wiara w jakiegokolwiek dogmaty, zarówno wyznaniowe, jak i polityczno-partyjne. Nie uznaję żadnych sakramentów. Nie uznaję, rzecz oczywista, żadnych objawień i proroctw, wiedząc, że wszelkie t. zw. objawienia i proroctwa dostają się od człowieka do człowieka za pomocą wmawiania, sugestji, a pierwotne ich źródło sprowadza się do „natchnień” i zboczy umysłowych, do atrofji i hipertrofji, stanowiących przedmiot badania psychiatrów.

Co zaś do bóstw i wogóle co do sił, rządzących rzekomo światem, to przedewszystkiem są to językowo ochrzczone uogólnienia i scałkowania (zintegrowania) mnóstwa wrażeń i wyobrażeń, powstających w nas dzięki oddziaływaniu na nas przyrody i społeczeństwa. Nie powinniśmy też zapominać, że w stosunku do ogółu wszechświata znajdujemy się jak w studni, nie mogąc wyrzeć po za jej krawędzie, że

nasze zmysły mogą odbierać wrażenia tylko w nader szczupłych granicach, poza którymi znajduje się nieskończona ilość objawów, zmysłom naszym niedostępnych. Do stwierdzenia zjawisk pozazmysłowych prowadzą nas ściśle badania naukowe. Dostępne naszemu uchu szmery i tony mieszczą się tylko między pewnymi minimami i maksymami vibracji czyli drgań. W dziedzinie optyki odkryto promienie ultrafioletowe, oku naszemu niedostępne. W dziedzinie akustyki działają fale pozadźwiękowe (*ondes ultrasonores*). Podobnie w dziedzinie zjawisk i oddziaływań psychicznych, w sferze intelektu ludzkiego (i zwierzęcego) musimy przyjąć we wszechświecie nieskończoną ilość zjawisk, leżących poza jaknajdalej idącą rozszerzalnością i rozciągalsnością intelektu.

„Przypuszczać, że poza człowiekiem i zwierzęciem niema w świecie pierwiastku psychicznego, byłoby objawem szalonej megalomanji czyli obłądu wielkości. Coś takiego musi być, ale co to jest, nie wiem. Jestem na to za głupi, zanadto ograniczony. I śmiem twierdzić, że inni ludzie są również za głupi i za ograniczeni i nigdy nie potrafią zrozumieć owego wszechświatowego pierwiastku psychicznego“.

(„Komu i na co potrzebny jest Bóg?” „M. W.” 1925 № 1, str. 14).

To, co się opowiada o tym świecie tajemniczym, niedostępnym umysłowi ludzkiemu, to co się wmawia w siebie i w innych, są to senne widziadła i bajdurzenia, bądź to powtarzane z dobrą wiarą, bądź też wysyskiwane dla tumaniienia łatwowiernych.

Z mnóstwa kwestji, których traktowanie przezemnie jest sprzeczne z nauką Kościoła i—ponieważ wyznanie biorę na serjò, głęboko, przekonaniowo, nie zaś policyjnie, metrycznie (nie od metra, ale od metryki) i paszportowo—nie pozwala mi uchodzić za katolika, zastanowię się tu nieco obszerniej tylko nad trzema: nad kwestją „sprawiedliwości boskiej”, nad kwestją „nieśmiertelności duszy” i nad kwestją wmawianej w Boga próżności i żądy sławy.

Sprawiedliwość.

Czy dopuszczenie przez Stwórcę do grzechu pierwotnego i karanie za niego wszystkich ludzi, jako potomków dwojga grzeszników, daje się pogodzić z ludzkim poczuciem

sprawiedliwości? Czy wogóle odpowiedzialność zbiorowa, bądź to całych zreszeń ludzkich, bądź też w nieskończonem następstwie pokoleń, nie jest nonsensem, urągającym zdrowemu rozsądkowi normalnego, nie zwyrodniałego człowieka? Wprawdzie rozmaici tyrani i degeneraci znajdują sadystyczną rozkosz w uprawianiu ohydnej vendetty i w prześladowaniu ludzi pojedynczych za przynależność do znienawidzonego zbiorowiska ludzkiego, przyczem grają główną rolę uogólnienia myślenia językowego. Nikczemne bydlę ludzkie wmawia w stworzonego na obraz i podobieństwo własne Boga swe zbrodnicze i sadystyczne popędy, nazywając jednocześnie tego swego Boga nie tylko Sprawiedliwym, ale także Miłosiernym. Człowiek, któryby sobie pozwalał na coś podobnego, byłby uznany za zbrodniarza, ale Bóg jest czczony właśnie za to, że jest Bogiem zemsty.

Dzięki umęczeniu naszego myślenia i naszej wyznaniowości, dzięki upłciowieniu naszego Olimpu, każemy Bogu być mężczyzną. Tylko mężczyzną może być również zastępca Boga na ziemi, Namiestnik Chrystusowy. Tylko mężczyznami mogą być działający w imieniu boskiem kapłani. Bóstwa i półbóstwa płci żeńskiej grają podrzędną, choć nieraz bardzo zaszczytną rolę. Być niebianką nie jest to samo, co być bogiem, czy to jednopostaciowym, czy też wielopostaciowym. Być mniszką, choćby nawet westalką, nie jest to to samo, co być kapłanem. A proszę mi odpowiedzieć, tylko szczerze i uczciwie, czy podobne upośledzenie płci żeńskiej można uważać za sprawiedliwe, zwłaszcza wobec tego, że kobiety są główną podporą Kościoła. To upośledzenie kobiet jest przeniesieniem do Królestwa Niebieskiego naszych ziemskich i ludzkich urzędów i zwyczajów, aleć chyba tych naszych zwyczajów i obyczajów nie możemy uważać za doskonałe, a podobno w państwie Wszechmocnego i Wszechwiedzącego ma panować bezwzględna doskonałość.

Czy ze stanowiska ludzkiego, ze stanowiska sprawiedliwości, odczuwanej po ludzku, t. j. nie zbrodniczo, ale uczciwie po ludzku, można uważać za sprawiedliwe skazywanie jedynie kobiet na cierpienia i męki, połączone z rodzeniem dzieci?

Czy sprawiedliwym jest skazywanie niektórych niemowląt na bezustanne choroby i cierpienia, bez jednej chwili odpoczynku, bez jednej chwili radości, w ciągu ich kilkotygo-

dniowego lub nawet tylko kilkodniowego istnienia? Przyszły biedactwa na świat jedynie po to, ażeby bez przerwy cierpieć i w cierpieniach skonać.

Przypomnijmy też sobie niemowlęta, duszone przez własne matki lub usługujące akuszerki, przez uprawiające tę specjalność swoiste opiekunki i wychowawczynie.

Uprzytomnijmy sobie Ewę Pobratymską z „Dziejów grzechu” Żeromskiego, która rodzi swoje niemowlę w wychodku, kładąc niewinnemu stworzeniu dusić się w otchłani nieczystości kloacznych. To także ma być objawem sprawiedliwości opatrnościowej. A przecież takie dziecko, jako niechrzczone, jest skazane po śmierci na męki wiekuiste.

Jeżeli chodzi o powiększanie grona aniołków, mających słać Pana Zastępów, to możnaby przecież uciec się do jakiegoś innego mniej okrutnego sposobu ich fabrykacji.

Niemowlęta, zmarłe bez chrztu, na równi z „poganami” i wszystkimi nie-katolikami, są skazane na potępienie wieczne. Czy zgadza się to ze sprawiedliwością, wmawianą w stworzonego na obraz i podobieństwo ludzkie Stwórcę? Taką sprawiedliwość z pod ciemnej gwiazdy każe uprawiać swemu dobrotliwemu Ojcu marne i plugawe bydło ludzkie.

Niektóre ludy „dzikie” czczą zwierzęta jako bóstwa. Tak np. Gilacy w Syberji Wschodniej ubóstwiają psów, a na dowód czci zarzynają je i pożerają, chcąc wraz z ich mięsem i krwią wessać w siebie ich boską moc i potęgę. Oddając piękniem za nadobne, zwierzęta pożerają ludzi, ale już bez przymieszki czci boskiej. Również ludożercy, pożerając misjonarza, nie kierują się pobudką okazania mu w ten sposób czci boskiej. Przed kilku laty w Bolszewji okrutny głód zmusił ludzi do pożerania „bliźnich”, a nawet własnych dzieci. Pewien ojciec, zarznawszy swego syna kilkoletniego i sporządziwszy z niego pieczeń, posłał niezjedzoną jeszcze córeczkę do sąsiadki po musztardę, bo był przyzwyczajony do spożywania pieczeni z musztardą. Czy to także mieści się w ramach rozlanej we Wszechświecie i wmawianej w Opatrność Sprawiedliwości?

Czy przy sprawiedliwości, praktykowanej przez miłośnicie bóstwa, możliwe by było istnienie chorób, śmierci przedwczesnej, nędzy, niewoli wszelakiej, hańbiącej człowieczeństwo prostytucji i t. d. i t. d.?

Czy Ojciec, kochający naprawdę swoje dzieci, a będący zarazem Wszechmocnym, mógłby je skazywać na wzajemną nienawiść, na wzajemne tępienie się i prześladowanie, na popełnianie wszelakich zbrodni pojedynczych i zbiorowych, na prowadzenie wojen, na orgje rewolucji i t. d. i t. d.? Czy Ojciec kochający a wszechmocny nie urządziłby swym umiłowanym życia w sposób, uniemożliwiający wszelkie cierpienia, wszelką nędzę i zbrodnię?

Czy Ojciec, kochający swoje córki, będąc wszechmocnym, mógłby skazywać je na hańbę prostytucji?

Czy Ojciec wszechmocny, mający choćby żdziebełko miłości ku swym dzieciom, będącym rodzicami na *ziemi, mógłby te swoje umiłowane dzieci pogrążyć w bezbrzeżnej rozpacz po stracie ich dzieci, duszonych w sposób równie bezmyślny, jak okrutny?

Oczywiście takie pytania można stawiać, jedynie przyjmując sprawiedliwość we Wszechświecie i wmawiając ją w Boga osobistego, stworzonego na obraz i podobieństwo ludzkie. Stają się zaś one całkiem bezprzedmiotowymi, jeżeli staniemy na stanowisku, że sprawiedliwość jest wytworem ludzkim i że niema podstawy do szukania jej we wszechświecie, niewspółmiernym z psychiką ludzką, we wszechświecie, którym „rządzą“ „ściśle określone“ „prawa“, ale nigdy ani „sprawiedliwość“, ani „litość“, ani „miłosierdzie“.

Wspaniałą ilustracją „miłości“ Ojca niebieskiego do jego ziemskich dzieci są wiwisekcje, urządzone przezeń nad biblijnym Hiobem, coś w rodzaju wiwisekcji, o której z dumą opowiadał mi fizjolog i patolog rosyjski, Wiktor Wasiljewicz Paszutin, profesor uniwersytetu Kazańskiego, a następnie profesor i naczelnik (rektor) Akademii medyko-chirurgicznej w Petersburgu. „Chciał zbadać eksperymentalnie duszę psa. Nabył więc psa, obłaskawił go; pies się do niego przywiązał i lizał mu ręce. Wtedy Paszutin oblał psa ukropem. Z psa zlała skóra, ale pies lizał ręce swego oprawcy. Wtedy Paszutin po raz drugi oblał psa ukropem. Można sobie wystawić jego (psa, a nie Paszutina) męczarnie. A pomimo to nie przestawał lizać ręki kapłana nauki. Jeszcze raz oblało psa ukropem, ale tu już nie wytrzymał i wyzionął ducha. Dopóki jednak żył, lizał rękę swego pana. Był „do zgonu wierny jak sobaka“. A może rozumiał, że cierpi i poświęca

życie dla dobra nauki". („Rehabilitacja psubrata i sukinsyna". „M. W." 1924, Nr. 8, str. 9).

Chociaż główną pobudką do tego zarówno głupiego, jak okrutnego „eksperymentu" był cyniczny sadyzm „badacza", to jednak „badacz" mógł się zasłaniać pretekstem, że chce się czegoś dowiedzieć. Gdyby był wszechwiedzącym, jak Jehowa, to nawet Paszutin powstrzymałby się chyba od okrucieństwa bezcelowego. Chcąc więc zrozumieć wiwisekcje, urządzane przez Jehowę nad Hiobem, nie pozostawałoby chyba nic innego, jak przypuścić, że z jednej strony wszechmoc i wszechwiedza, z drugiej zaś strony wszechsprawiedliwość, wszechmiłosierdzie i wszechmiłość godzą się doskonale z mściwością bezgraniczną i z sadyzmem bezgranicznym.

Dlaczegoż tedy wmawiacie w swego Ojca Wszechmocnego, a zarazem nietylko sprawiedliwego, ale także miłosierdnego, takie okrucieństwa, jakie z człowieka na ziemi robiłyby potwora, wyrodka i zbrodniarza?

Wprawdzie pocieszają nas rozkoszami, czekającemi nas rzekomo po śmierci. Ci, bądź to naiwni, bądź też obłudni pocieszyciele powinni by chyba zrozumieć, że największe rozkosze pozagrobowe nie mogą zrównoważyć i zatrzeć wspomnienia o mękach, doznanych za życia na tym świecie.

Nie szukajmy więc Sprawiedliwości poza sobą, nie wmawiajmy jej w stworzone przez nas bóstwa. Jak to wspaniale wykazał Maeterlinck („*Le temple enseveli*"), sprawiedliwości obiektywnej, sprawiedliwości poza psychiką ludzką niema ani w przyrodzie, ani w wymyślonych przez człowieka istotach ludzkich i nadludzkich. Sprawiedliwość mieści się bez reszty w duszy ludzkiej i zwierzęcej, zarówno odosobnionej, jako też współżyjącej z innymi duszami, ale i tutaj była dotychczas i pozostanie na zawsze ideałem niedoścignionym.

Nieśmiertelność duszy ludzkiej (i zwierzęcej).

Przyjmowanie nieśmiertelności duszy i wiara w nią jest objawem potwornej megalomanji nędznych robaków ziemskich. Urodziło się to, ponieważ miało rodziców, i wydaje mu się, że powinno żyć wiecznie. Że jednak podświadomie odczuwa się cały absurd podobnej pretensji, więc owa niby-wiara w nieśmiertelność duszy wygląda bardzo podejrzanie.

Gdyby ludzie naprawdę wierzyli we własną nieśmiertelność, nie baliby się śmierci, ale, przeciwnie, wyglądałoby z upragnieniem uwolnienia od cierpień na tym padole płaczu i zastąpienia ich rozkoszami, związanymi z nieustającym wpatrywaniem się w oblicze Pana nad Pany.

Według mego niekompetentnego rozumienia przymus nieśmiertelności byłby największą karą, jaką byłby w stanie wymyślić wyrafinowany okrutnik. Byłoby to prawdziwe piekło, przeżywane czy to w piekle, czy w czyścisku, czy też w samym raju. Urzędowe patentowane „piekło“ stałoby się zbyt cennym. Wystarczyłaby prosta nieśmiertelność. Bo czyż może być większe piekło, jak stała, nie ustająca, nigdy się nie kończąca świadomość krzywd wyrządzonych przez nas innym i doznanych przez nas samych za życia? Dosyć chyba tego, że ta przeklęta świadomość zatruwa nam życie za życia, że, dzięki piekielnemu bólowi, przez nią sprawianemu, mamy wstręt do życia, tęsknimy do Nirwany, do absolutnego niebytu, aż tu nagle pocieszają nas zapewnieniem, że ta męka istnienia przeciągnie się za grobem w nieskończoność. Jakąż straszną rzeczą byłaby ta wieczna, nigdy nie kończąca się świadomość przeżytej nędzy, świadomość krzywd wyrządzonych i doznanych!

Z głębin udręczonego serca wznosi się okrzyk pani L. Ackermann w jej wierszu „*Les malheureux*“ z cyklu „*Poésies philosophiques*“:

Laisse nous oublier que nous avons vécu!
(Pozwól nam zapomnieć, żeśmy żyli!).

Nasze istnienie osobiste jest buntem przeciw jedności wszechświata; za tę zbrodnię jesteśmy skazani na śmierć*), na śmierć prawdziwą, na śmierć absolutną.

I to jest prawdziwa łaska.

Śmierć porównujemy ze snem. Śmierć nazywamy snem wiecznym. A o śnie prawdziwym, o śnie głębokim myślimy dlatego z taką błogością, że pozwala on nam przypominać o troskach i zgryzotach życia.

Pieśń ludowa nazywa sen *stolkim*. Litewskie *saldzei miegoti* ; serbski *sladki sanak*.

*) Własny aforyzm.

W zastosowaniu do śmierci Havliczek Borovsky powiada:
Vierzim, že velmi těžce jest umrziti, nic sladsiho pak, než umřlym byti. (Wierzę, że bardzo ciężko jest umrzeć, nic słodsze jednak, niż być umarłym).

Humorystycznie traktuje tę sprawę poeta publicysta wiedeński Oskar Blumenthal w czworowierszu „*Auf mein eigenes Grab*“ (na mój własny grób):

*Nun bin ich ledig aller Erdenplag,
Mich kann kein Glück, kein Hoffen mehr betrügen,
Und wenn einst kommt der Auferstehungstag,
Ich bleibe liegen.*

(Oto jestem wolny od wszelkich dolegliwości ziemskich, nie może mnie już oszukać żadne szczęście, żadna nadzieja; a jeżeli kiedyś nadejdzie dzień zmartwychwstania, ja się nie poruszę).

Innego rodzaju „nieśmiertelność“, nieśmiertelność w cudzysłowie, nieśmiertelność ludzi głośnych i sławnych, których imiona żyją w pamięci pokoleń i są przekazywane przez tak zwaną historję, jest również objawem megalomanji, i to megalomanji obustronnej: Z jednej strony subjekt dwunogi szumiący i zwracający na siebie uwagę, czy to swemi zbrodniami lub cnotami, czy też swemi czynami lub utworami, pragnie żyć „nieśmiertelnie“ w pamięci takich samych dwunogich; z drugiej zaś strony ci inni dwunodzy w swej zarozumiałości sądzą, że mogą swym wybrańcom zapewnić nieśmiertelność.

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę (Adam Mickiewicz).

Marna to nieśmiertelność, nieśmiertelność zapewniana marniakom przez takich samych marniaków. Nieśmiertelność prochów i pyłów, nieśmiertelność pluskiew, wszy i innego robactwa. Niech z ziemią, jako z miejscem pobytu robactwa ludzkiego, stanie się jakaś radykalna a zbawcza dla rodu Kainów katastrofa, a wszystkie owe wielogębne nieśmiertelności rozwieją się i znikną na wieczne czasy.

Jeżeli uznajemy nieśmiertelność duszy ludzkiej, jesteśmy obowiązani uznać także nieśmiertelność duszy zwierzęcej. Co więcej, mierząc prawo do nieśmiertelności cnotami i za-

sługami osobnika, powinniśmy się zgodzić, że pies, górujący swą wiernością i przywiązaniem, ma więcej prawa do nieśmiertelności, niż nikczemne, okrutne i znęcające się nad psem bydlę ludzkie. Ale sądzę, że i pies zaprotestowałby przeciw swej nieśmiertelności, związanej z pamięcią o krzywdach doznanych, a więc równającej się piekłu.

A jak też stoi sprawa z dziećmi-embrjonami, które nie mogły się urodzić i udusiły się w łonie matki? Czy one także mają być nieśmiertelne? Bo co do niemowląt, które przeżyły kilka tygodni lub nawet kilka dni w nieustających cierpieniach, to sprawa jest jasna i rozstrzygnięta: skazane są one na nieśmiertelność i na wieczną pamięć takiej strasznej krzywdy.

Ale uspokójmy się. Niema obawy. Nie grozi nam nieśmiertelność. Do tego wystarczy trochę zastanowienia się i pomyślenia na zimno, bez ulegania emocjom, bez ulegania irracjonalnym tęsknotom i bezpodstawnym nadziejom.

1) Bez ciała niema warunków dla istnienia psychy, dla istnienia tego, co nazywamy duszą ludzką i zwierzęcą. Co się urodziło, musi mieć też koniec. Jak mówi Mefistofel w *Fauście* Goethego:

Denn alles was entsteht
ist wert, dass es zu grunde geht;
drum besser wäre es, wenn nichts entstünde.

(Bo wszystko co powstaje zasługuje na to, ażeby ginęło; dla tego byłoby lepiej, gdyby nic nie powstawało).

2) Wszystko co ludzkie jest skończone, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Wszelka wieczność i wogóle wszelka nieskończoność znajduje się poza sferą ludzkiego bytowania i ludzkiego ścisłego myślenia. Jest ona nie do uchwycenia i nie do przeżycia. Można o niej marzyć i bajdurzyć, ale myśleć niepodobna. Przytem nieskończoność w jedną stronę związana jest ze swem przeciwstawieniem w drugą stronę. Nieskończoność przyszłościowa jest niemożliwa bez nieskończoności przeszłościowej. Nieśmiertelność jednostkowej duszy ludzkiej i zwierzęcej byłaby nieskończonością jedynie przyszłościową, a więc w logicznym myśleniu ludzkim niedopuszczalną.

Wmawianie w Boga próżności i żądzy sławy.

Modląc się, czy to pojedynczo, czy też zbiorowo, czy to w domu na osobności, czy też w świątyniach, czy to na pamięć, czy też z książek do nabożeństwa, klepiąc różańce, godzinki, nowenny, litanje, pacierze za pokutę, uprawiając żebrawinę w stosunku do Boga, pochlebiając mu, wmawiając w niego litość i miłość do „dzieci“, traktujemy tego Boga jak sobie równego, obciążonego wadami i ułomnościami ludzkimi. Tak też być powinno, bo Bóg osobowy, stworzony na obraz i podobieństwo człowieka, może się wprawdzie różnić od człowieka ilościowo, ale nigdy jakościowo. Bóg-człowiek jest wrażliwy na pochlebstwa, ma oczy i uszy, lubuje się widokiem tłumów modlących się, ustępuje natrętnym i wrzaskliwym prośbom zbiorowym, jednym słowem przypomina łaskawego władcę ziemskiego, monarchę lub wpływowego dygnitarza.

Opanowanemu żądzą sławy nie wystarczają chóry dwunogich chwalców na ziemi; dodaje do nich chóry anielskie i archanielskie z rozmaitemi „szarżami“ oficerskimi i jeneralskimi. Chwalcie Pana, zastępy.

Na wzór Sykstyńskiej kapelli papieskiej w przybytku Boga na niebiesiach rozbrzmiewają dźwięczne głosy aniołków, aniołów i archaniołów.

Ja ze swej strony uważam to za obmawianie Boga, za oszczerstwo. Nie wierzę w próżność Istoty Najwyższej, w jej kabotynizm, w jej żądzę sławy u robaków ziemskich i wybrańców niebieskich.

Kilka uwag o wszechwiedzy i wszechwładzy kleru.

Dotychczas dla prawdziwie wierzących ksiądz, jako spadkobierca znachora, jest ostateczną wyrocznią w sprawach higieny, w sprawach pożywienia, w sprawach życia osobistego i społecznego. To uznawanie uniwersalności kapłańskiej i uprawnienia kapłanów do wyrokowania we wszelkich kwestiach spornych pochodzi z epoki niezróżniczkowania specjalności, z epoki spełniania wszelkich funkcji społecznych przez jedną i tę samą osobę. Z dzisiejszym poglądem na ustrój społeczeństwa nie da się to w żaden sposób pogodzić.

W stosunku do Boga ksiądz jest obdarzony niesłychaną

mocą. Jest on potężniejszy od Boga. Kiedy bowiem przy odprawianiu Mszy Świętej rozkazuje Bogu Wszechmogącemu wcielić się w opłatek i w wino, Bóg nie może mu odmówić i musi się wcielić. A takim nadboskim potentatem, potężniejszym od samego Boga (coś w rodzaju przewodniczącego Trójcy Świętej), jest każdy osobnik, odznaczony sakramentem kapłaństwa, a więc także wzmiankowany powyżej Pietkiewicz dorpacki, Macoch częstochowski i tylu tylu innych, sąsiadujących z kryminałem.

Dla wiernych synów Kościoła jest to całkiem w porządku. Ja zaś, o ile wmyślę się i wczuję się w duszę prawdziwie wierzącego i dbałego o czystość wyznaniową, podobne uznawanie potęgi „sług bożych” muszę uważać za bluźnierstwo.

Inny dowód megalomanji hierarchów kościelnych. Oto papież mianuje błogosławionych i świętych, awansuje z niższej rangi „błogosławionego” na wyższą rangę „świętego”, a Bóg nie może się temu sprzeciwić. Jest on bowiem tylko ściśle ograniczonym monarchą konstytucyjnym, a papież autokratycznym, samowładnym premierem i ministrem wojny.

Nietylko papież, ale także niżsi dostojnicy, urzędnicy i funkcjonariusze kościelni udzielają odpustów na tyle i tyle dni, a Bóg, stosując się do ich rozporządzeń, musi przynosić delikwentów z Czyśćca do Raju. Bo do autonomicznego Piekła, rządzonego przez Lucyferów, Mefistofelesów, Belzebubów biesów, szatanów, djabłów i cały zastęp piekielnej Czerwczajki, nawet Bogu Wszechmogącemu wtrącać się nie wolno. Odpusty w mniejszej lub większej porcji nie mogą się odnosić do Piekła.

A ten kler wszechwładny, rządzący ziemią i niebem, uprawia otwarcie obłudę. Głoszone przezeń zawodowo przykazanie „nie zabijaj” w życiu praktycznym do niczego go nie obowiązuje. Nie walczy on ani z wojną, ani z „karą śmierci”, z tą chroniczną zbrodnią legalizowaną, błogosławi ręce bratobójcze, odbiera od żołnierzy przysięgi bluźniercze. Co więcej, sam skazuje na śmierć, sam torturuje, sam pali na stosie (przynajmniej praktykował to nie zbyt dawno). Rozsmakowując szóste przykazanie, nie przeciwstawia się ani prostytucji, ani innym objawom niewoli płciowej.

Na podobieństwo własne zaleca obłudę swym owieczkom i barankom. Byle nie występować otwarcie, byle nie manifestować, byle udawać pobożność i w razie potrzeby uczestniczyć w uroczystych urzędowych obchodach i nabożeństwach; pozatem można sobie wierzyć lub nie wierzyć. Na praktykowanie obłudy skazują już dzieci szkolne, sekundowani usłużnie przez panów ministrów i władze szkolne.

Może dla braku przykazania „nie kłam, nie oszukuj, nie fałszuj, nie uprawiaj obłudy“ nietylko nie zabraniają uprawiania różnych „fałszywych fasji“, ale sami w nich uczestniczą. Komu zaś „fałszywa fasja“ wydaje się grzechem, ten bez trudności dostaje rozgrzeszenie z niemą zgodą na kontynuowanie grzechu: *da capo al fine*. Klerowi miłe są fałsz i obłuda, bo sam je gorliwie uprawia.

Degenerat, fanatyk i szaleniec Eligjusz Niewiadomski, morderca prezydenta Narutowicza, został uznany przez znaczną część kleru katolickiego w Polsce za bohatera, męczennika i nieomal że za świętego. Odprawiano na jego intencję demonstracyjne nabożeństwa i z głębi duszy aprobowano jego „czyn patryjotyczny“, dokonany, można powiedzieć, pod skrzydłem opiekuńczym Kościoła. Trzeba oddać sprawiedliwość klerowi innych wyznań w Polsce. O ile wiem, ani ewangelicy, ani prawosławni, ani żydzi nie pochwalali czynu Niewiadomskiego. W danym wypadku przykazanie „nie zabijaj“ traktowali bardziej na serjo.

Niedawno jeden (a może i nie jeden) ksiądz na Kresach wschodnich dowodził na kazaniu, że obecny rząd zaprowadzi nowe porządki, że niewolno będzie brać ślubów w kościele, a że śluby będą dawali żydzi. Są to dalsze konsekwencje z twierdzenia dostojników kościelnych, że śluby cywilne wymyślili bolszewicy.

W Wadowicach istnieje i działa zakon księży Pallottynów, protegowany przez kurje biskupie, a ziejący nienawiścią, zatruwający serca i ogłupiający słabe głowy ludzkie. Wpadł mi w ręce wydany przez tych trucieli i podżegaczy „Kalendarz Królowej Apostołów. Nakładem Kongregacji misyjnej ks. ks. Pallottynów w Wadowicach. 1927“.

W Kalendarzu tym przeważają artykuły, pełne bądź to nieuctwa, bądź też umyślnego fałszowania historii, a uprawia-

jące agitację pogromową. Pozwalam sobie z artykułu „Żyd“ (szp. 105—114) przytoczyć następujące ustępy, zawierające w sobie bądź to prawdziwe lub też rzekome cytaty z dzieł i okolicznościowych wypowiedzi różnych znakomitości, nawet Woltera, bądź też samodzielne wywody szanownego autora:

1) „Rozrzuceni po całym globie, a jednak ściśle z sobą złączeni żydzi — to istoty podstępne, niebezpieczne i wrogo usposobione do reszty ludzi. Nie wolno patrzeć obojętnie, gdy podnoszą oni łeb do góry, lecz natychmiast wybić ich tak, jak wybijają się jadowite żmije. W przeciwnym razie kąsać będą — a ukąszenie żydowskie jest śmiertelne”. (szp. 105).

2) „Nie rozumiem, czemu dotąd nie wytępiono doszczętnie tych jadowitych węży. Wszak zabijają się drapieżne zwierzęta, pożerające ludzi. A kimże jest żyd, jak nie ludożercą”. (szp. 105).

3) „Ta zadra w żywych organizmach innych narodowości wywołuje choroby, gnienie i śmierć. Wśród narodów europejskich żydostwo jest elementem obcym, wnoszącym jedynie rozkład.

„Z trychinami i bakcyłami nikt nie zawiera paktów — ani też usiłuje przerobić drogą wychowania — lecz stara się jaknajprędzej wytępić,

„Przedewszystkiem odebrałbym żydom to, co stanowi ich siłę — mianowicie pieniądze”. (szp. 106—107).

4) „Należałoby żydów pozbawić praw cywilnych i stworzyć dla nich prawa specjalne”. (szp. 107).

5) „Zjawisko zrozumiałe: żyd wzgardził pracą fizyczną. U siebie — na własnej ziemi — i pod własnym niebem nie chciał on ani orać, ani siał — ani przy fabrycznym młocie, kowadłe, warsztacie tkackim. Porzucił własną ziemię, jął się włóczęgostwa z najmocniejszym postanowieniem unikania wszelkiej roboty — a życia cudzym wysiłkiem, cudzym potem — na cudzy koszt. Jak wesz, pluskwa, szarańcza, zarazek tyfusu, bakcył cholery i dżumy”. (szp. 107).

6) „Ale gdy z zarośli wychodzi na cię tygrys, czołga grzechotnik, a z mętnych ujść Misisipi aligator — wolno ci strzelać: siła na siłę, zręczność za zręczność — twoja śmierć lub jego. Nie usypia cię on swem człowieczeństwem — nie powołuje na dyplom uniwersytecki — na przykazania boskie —

na etykę i prawo — nie żąda, byś — w imię miłości bliźniego — rzucił na ziemię lub jemu oddał strzelbę, kłonicę, widły czy też oszczep — i własnoręcznie bez wszelkiej obrony wytoczył dlań swą krew.

„Aby nie żebrać — lecz bez pracy na cudzy rachunek dostatnio żyć — musiał on wykląć wszelką uczciwość i cnotę — a nadto rozgrzeszyć całą masę „wybranego ludu“ z kradzieży, fałszerstwa, rabunku, krzywoprzysięstwa, podpalen, lichwy, kontrabandy tudzież zabójstwa. Jego księgi święte świadczą, iż uczynił to bez wahań. Więcej nawet: zażądał równouprawnienia i „tolerancji“. Jakiego równouprawnienia i „tolerancji“ — nie mówi. Jego księgi święte dały mu wszelkie prawa do takich nawet potworności, o jakich pomyśleć nie wolno chrześcijaninowi, stworzył on więc dla siebie najwyższą tolerancję — niema bowiem zbrodni, którejby nie uznawał. Zatem przez „równouprawnienie“ i „tolerancję“ rozumieć należy żydowskie ultimatum do całkowitego poddania się świata chrześcijańskiego żydowskiej nawale i abdykuj, chrześcijanie — wyrzekaj się wiary, narodowości, ziemi, nieba — oddaj coś nagromadził — spal Pismo święte, obal Papiestwo, przebuduj kościoły na synagogi, zapuść pejsy, włóż „cycele“ — i pójdź na żydowskiego parobka“. (szp. 108).

7) „Szaujemy ohydne zbrodnie, wyłuszczone w cytowanych protokółach: więc gwałtem, siłą, podstępem, obłudą, korupcją pieniężną, oszustwem, zdradą, rozbojem, zwyrodnianiem przeciwnika, osłabieniem jego rozumu, oduczaniem od rozważań, niszczeniem wpływu rodziny oraz jej wartości wychowawczej, mąceniem stosunków narodowych, przemęceniem, ogłupianiem, demoralizacją, głodem, nędzą i szczepieniem chorób. Oto, jakim jest arsenał narodu żydowskiego do walki z innemi narodami — oto środki, któremi powalono taką wielką potęgę, jaką była Rosja.

„Lecz samego arsenału zamało — potrzeba ludzi. Któż to zająć się ma wprowadzeniem programu żydowskiego w czyn — kogo wyznaczył żyd do zwyrodniania gojów, osłabiania ich rozumu, oduczania od rozważań, niszczenia wpływu rodziny, mącenia stosunków narodowych, ogłupiania, demoralizacji — komu wypadła rola ogładzania tudzież szczepienia wśród narodów nieżydowskich takich plag, jak choro-

by? Odpowiedź krótka: pozostawiając w swem ręku naczelne kierownictwo, żyd gojom powierzył misję wytępienia gojów. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Cóż znaczyłyby 447 żydziaków w Rosji, gdyby dawniejsi kadeci tudzież partje wywrotowe nie podważyły ustroju państwowego, nie zdemoralizowały cara — a dziki muzyk rosyjski nie sformował czerwonej armji do wytępienia rosyjskiej arystokracji, rosyjskiego ziemiaństwa, rosyjskiego duchowieństwa i rosyjskiej inteligencji narodowej — gdyby pod naczelną komendą żydowskich komisarzy nie palił, zabijał, niszczył — pozostawiając za sobą cmentarze i zgliszcza — zgliszcza i cmentarze?“ (szp. 109—110).

8) „Nie od dziś — i nie od wczoraj żydostwo demoralizowało sferę inteligencką, wszelkimi sposobami wciągana do łóż masonskich“ (szp. 110).

9) „Nikczemnym jest żyd. Ale po stokroć, po tysiąc-kroć nikczemniejszym jest goj, wysługujący się w łóżach masonskich żydowi. Tamten niszczy państwa cudze, by na ruinach wznosić gmach państwowości własnej. Ten zaś, dla pieniędzy lub stanowiska sztylety wbija w serce Ojczyzny własnej, by jej trupa w prezencie zanieść na szabas judejczykowi. Jeżeli żyd jest wampirem — na określenie goja w służbie żydowskiej słownictwo nie zna odpowiedniego wyrazu“. (szp. 113).

10) „Całe legje zdrajców własnego kraju, duszami i mózgiem zaprzędanych judaizmowi, dziesiątkami lat popełniają nieustającą zbrodnię zaprzaństwa narodowego ambasadorów, prezesów najwyższych instytucji, delegatów kraju na międzynarodowe kongresy, sędziów wojennych, profesorów, wydawców, redaktorów. Całe to zbiegowisko opryszków najgorszego gatunku wyciska na masach narodowych odpowiednie piętno, kieruje tak zwaną „opinją“ — a co najważniejsza — decyduje. Zmasonizowana reprezentantka płci „nadobnej“ rozsiadła się w ministerjum wyznań i oświecenia publicznego, ściga uczciwych Polaków, rozdaje stanowiska dyrektorów szkół chłopcom z kilkuklasowem wykształceniem, wydziera najzasłużeńszym Polakom szkoły przy pomocy zamaskowanych oraz bezmaskich prowokatorów z Wiednia i Petersburga, by poprzez szumowiny rosyjskie odzierać dziawę polską z wszelakich świętości. W ciągu czterech lat

niepodległości rozdarło żydostwo kraj, zniszczyło jego pie-
niądz, skupiło kopalnie i fabryki w akcjach, spółkach tudzież
obligacjach — i pociągnęło naród cały na krawędź nieuni-
knionej zagłady. To samo co w Rosji — i tak samo, jak
w Rosji“. (szp. 114).

Oto kilka kwiatków uszczkniętych w ogródku wielebnych
„ojców“ czy też „braciszków“, występujących w imieniu Je-
zusa i jego matki, „królowej apostołów“, którzy oboje byli
żydami, urodzonymi w ziemi żydowskiej i wywodzącymi się
z rodu króla żydowskiego Dawida.

A nie zapominajmy, że „Kalendarze Królowej Apostołów“
rozchodzą się tysiącami pomiędzy ludem, wchłaniającym w sie-
bie tę zatrutą strawę.

Sprzedający truące pożywienie dla ciała bywają karani;
handlarzom trucizną dla duszy, o ile są protegowani przez
władze duchowne przy życzliwej neutralności władz świec-
kich, uchodzi to na sucho. Im wolno bezkarnie szczuć, pod-
judzać i jątrzyć.

Wogóle daje się stwierdzić, że powszechność kościelna
jest w znacznej części bandą bądź to zaślepionych fanatyków,
bądź też cynicznych obłudników i oszustów. Szczerze wie-
rzących a zarazem niesfanatyzowanych jest tylko nieznaczný
procent. Obłudnicy duchowni i obłudnicy świeccy podają
sobie ręce, oddają sobie wzajemne usługi, zawierają konkor-
daty i inne umowy, w celu ujarzmienia i ogłupiania mas
biernych i posłusznych. Rozczulająca wzajemna asekuracja.
Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. O godność ludzką,
o wolność sumień nikt się nie troszczy; chodzi przedewszyst-
kiem o władzę, panowanie i wyzysk.

Z klerem czy to fanatycznym, czy też obłudnym nie
mnie wiązać nie może. Więć już z tego powodu,—choćby nawet
był religijnie usposobiony i tęsknił do jakiegoś bóstwa, —
nie mógłbym być katolikiem. A cóż dopiero będąc che-
micznie oczyszczonym z wszelkiej religijności, z wszelkich
tęsknot do Boga, z wszelkiego mistycyzmu.

Dla mnóstwa ludzi Bóg osobisty, t. j. wyobrażenie, stwo-
rzone przez człowieka na obraz i podobieństwo człowieka,
jest przedmiotem wiary. Dla mnie to różnopościowe, jed-
nopościowe i wielopościowe wyobrażenie, zależnie od

czasu, od umiejscowienia na kuli ziemskiej i od indywidualności ludzkiej, wraz ze wszystkimi innymi związanymi z niem wyobrażeniami, jako też wraz z przeżyciami religijnymi, z nastrojami modlitewnymi, z wierzeniami osobistymi i gromadnymi, z wiarą w objawienie i t. d., stanowi jedynie ciekawą przedmiot badania. Istnieją też takie nauki i dyscypliny naukowe, jak religjoznawstwo, historia kultury i umysłowości ludzkiej (i zwierzęcej), socjologia, psychologia, psychiatria poświęcona badaniu zbroczeń umysłowych i t. p.

Wolnomyślicielstwo.

Swój pogląd na myśl ludzką, wolną od wszelkich dogmatów, przesądów i zabobonów, czyli na tak zwane wolnomyślicielstwo w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, wyłożyłem m. i. w artykule „Od Redakcji” w „Myśli Wolnej” z r. 1925 Nr. 1, str. 1—4. Przytaczam tu dosłownie główne ustępy tego artykułu:

„Myśl wolna to myśl badawcza, myśl naukowa. Jedynie tylko oczyszczona od wszelkich przesądów i narzuconych wierzeń myśl wolna wydziera tajemnice przyrodzie, przyrodzie w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu, a więc nie tylko przyrodzie t. zw. materialnej, ale także psychicznej, duchowej. Specjalności myślicielskie czyli „nauki”, wychodzące z założeń dogmatycznych, są sprzeczne z myślą wolną i niezależną, a więc nie są naukami.

„W wydzieraniu tajemnic przyrodzie myśl wolna, myśl naukowa nie może się wznieść ponad człowieka. Najwspanialsza, najdalej sięgająca hipoteza może być ujęta tylko po ludzku. „Nadludzkość” a raczej pozaludzkość jest przy tem stanowczo wykluczona.

„Myśl wolna opiera się na logice, na myśleniu logicznem. W zastosowaniu do etyki, do współżycia ludzi, myślenie logiczne prowadzi do poczucia sprawiedliwości, do uznania równouprawnienia we wszystkich kierunkach, równouprawnienia, różniczkowanego warunkami indywidualnymi.

„Myśl wolna porusza wszystkie tematy, roztrząsa wszystkie kwestje, a czyni to *sine ira et studio*, t. j. bezstronnie, bez namietności, bez uprzedzeń, czy to osobistych, czy też zbiorowych. Myśl wolna wystrzega się działania na wyobraźnię, kierowania się afektami i emocjami, podniecania namietności. Przy roztrząsaniu kwestji spornych prawdziwy

wolnomyśliciel chowa do szuflady i zamyka na klucz wszelkie swoje wstręty i pociągi, wszelkie swoje antypatje i sympatje.

„Przez zawiłe zagadnienia intelektualne i etyczne prowadzą wolnomyśliciela czysty rozum i, w sferze etyki, взгляд na dobro ogólne, które ze swej strony rozkłada się na dobro jednostek, należących do danego zbiorowiska społecznego, a na wyższym stopniu do całej ludzkości.

„Jeżeli szczęście danego człowieka zależy od ignorancji, od pozostawania w dziecinnej wierze, wolnomysliciel nie jest na tyle okrutnym, ażeby burzyć to szczęście, wyrывая z duszy błogie i uszczęśliwiające iluzje.

„Ze względu na szczęście ludzi wolnomyśliciel stoi tymczasem na gruncie danego ustroju politycznego i społecznego. Kieruje nim przytem nie ubóstwienie molocha państwowości, nie bzdurne powiedzenie, że „wszelka władza pochodzi od Boga“, ale ta jasna i zdobyta przez doświadczenie prawda, że wszelki przewrót, wszelka wojna, wszelka rewolucja związane są z tępieniem mnóstwa istnień ludzkich, z waleniem w gruzy dóbr kultury, a więc prowadzą do klęski i nieszczęścia niezliczonej rzeszy cichych i maluczkich, poniewieranych przez wszechświatowych krwawych „ideowców“ i zbrodniarzy.

„Wobec tego spokojna myśl wolna, myśl krytyczna, myśl indywidualna, nie pozwalająca okiełznać się zaciekłym i na nic się nieoglądającym doktrynerom, nie uprawia żadnego szczucia, nie głosi konieczności poświęcenia milionów ludzi współczesnych dla chimery raju, mającego uszczęśliwić przyszłe, mniej lub więcej odległe pokolenia.

„Prawdziwy wolnomyśliciel nie może być tłumicielem żadnej myśli ludzkiej i nikomu ust nie knebluje. Nie patrzy on ani na twarz ludzką jak na pysk do nakładania kagańca, ani też na ręce ludzkie jak na piszczele do pętania i zakuwania w kajdany. Nie uważa on żadnej myśli, o ile jest tylko myślą, za objaw zbrodniczy. Nie zionie nienawiścią i nie wpada we wściekłość na widok „heretyka“. Nie woła ani „na stos!“, ani „pod topór katal!“, ani „pod ścianę!“

„Wolnomyśliciel nie może się uważać za nieomylnego. Pozostawia on uprawianie tego proceduru zawodowcom i ochotnikom, poczynając od urzędowo uznanego nieomylni-

ka, rezydującego w Rzymie, a kończąc niezliczoną zgrają pospolitych głupców nieomylnych.

„Zgodnie z tem „Myśl Wolna“ będzie i nadal starannie unikała wszelkich napaści osobistych, wszelkich wyzwisk, wszelkich obelg. W arsenale polemicznym „Myśli Wolnej“ brak pocisków, utkanych czy to z „rozmięczenia mózgu“, czy też z pomawiania przeciwnika ideowego o rozmaite bezeceństwa z zakresu kryminalistyki, niemoralności i antypaństwowości, wypominane zwykle w celach denuncjatorskich.

„Co innego jednak, jeżeli chodzi nie o przekonania i argumenty, ale o akty gwałtu i przemocy, o rozmaite nadużycia i objawy „dyktatury“, o zamachy na wolność sumienia, o wyrafinowane ogłupianie podwładnych i o wszelkie inne tego rodzaju czyny, praktykowane przez inkwizytorów, przez bandytów, przez „obrońców wiary i ojczyzny“ i innych t. p. W takich razach „Myśl Wolna“ uważa za swój obowiązek występować otwarcie i stawać w obronie wszystkich ofiar przemocy, wyzysku i fanatyzmu.

„Pozatem „Myśl Wolna“ uznaje zasadę bezwzględnej wyrozumiałości i tolerancji. Chce ona, być wolną trybuną dla myśli wolnej we wszystkich kierunkach. Pod warunkiem przestrzegania przyzwoitości i powściągliwości w wyrażeniach zapraszamy do wymiany myśli wszystkich ludzi szczerych i nieobłudnych, od jezuitów i rabinów do komunistów włącznie.

„Możemy się różnić dyjаметralnie w zdaniach, ale obok tego możemy się szanować i dążyć do wzajemnego przekonania się drogą rozumową, bez obelg i bez zaciętrzewienia“.

Zestawiam tę daną przezemnie definicję myśli wolnej z obowiązującymi każdego prawdziwego, niefarbowanego katolika dogmatami i zapytuję: czy, będąc wyznawcą i głosi-cielem myśli wolnej, mogę być jednocześnie katolikiem? A nie jest to kwestja gustu. Z jednej strony prawdziwa indywidualna myśl wolna, z drugiej zaś zdogmatyzowane i sfanatyzowane myślenie, „myśl karna i zorganizowana“, będąca podstawą judaizmu, katolicyzmu, komunizmu i wszelkich innych wyznań, opartych na pochodzeniu, na przymusie partyjnym i t. d.

Kto ma takie jak ja wyznanie wiary, „wyznanie pozawyznaniowe“, nie może być ani katolikiem, ani żadnym in-

nym wyznaniowcem, a, chcąc być człowiekiem uczciwym, nie może udawać wyznaniowca i uchodzić za niego w oczach innych ludzi.

ROZDZIAŁ 5.

Moje zerwanie z Kościołem nietylko de facto, ale także de jure.

Pobudki do otwartego wystąpienia z Kościoła.

Przytaczam niektóre swoje oświadczenia, obowiązujące mnie do wyciągania z nich koniecznych konsekwencji.

„Stosując swój sposób traktowania spraw wyznaniowych, uważałbym za właściwe radzić wszystkim żydom, którzy przestali wierzyć w nakazy swego wyznania, ażeby, o ile nie są przekonani o wyższości czy to katolicyzmu, czy też jakiego innego wyznania, nie zmieniali urzędowo wyznania na wyznanie, ale tylko ażeby po prostu występowali z gminy wyznaniowej żydowskiej i ogłaszali się za bezwyznaniowych. Taką samą radę daję ludziom, figurującym w spisach ludności jako katolicy lub też jacy inni wyznaniowcy. Jeżeli przestali wierzyć, jeżeli nie uznają dogmatów swego rzekomego wyznania i jeżeli nie chcą uprawiać kłamstwa i obłudy, powinni otwarcie wykreślić się z listy wyznaniowców i przejść do bezwyznaniowców. Należy mieć odwagę do walki o swe najświętsze prawa”. („Przechrzta i neofityzm z przyległościami”. „M. W.” 1924. Nr. 12, str. 9).

„Do tego lub owego zrzeszenia wyznaniowego człowiek może należeć szczerze i uczciwie tylko o tyle, o ile sam w głębi duszy uznaje siebie za wyznającego zasady tego wyznania. Jeżeli zaś żadne z istniejących wyznań go nie zadawalnia, ma on nietylko prawo, ale także obowiązek wobec państwa i współobywateli ogłosić się za bezwyznaniowego. Udając takiego lub innego wyznaniowca, a nie będąc nim w samej rzeczy, człowiek staje się publicznym kłamcą, obłudnikiem i oszustem.

„Ludzie, zmuszający nas do udawania, ludzie, nie uznający bezwyznaniowości, ludzie nie chcący między innymi uprawniać statutu gminy bezwyznaniowej, każą obywatelom wolnej

Rzeczypospolitej być kłamcami, obłudnikami i oszustami". („Zagajenie wiecu protestacyjnego z dn. 1 czerwca r. 1924". „M. W." 1924. Nr. 7, str. 8).

Jeżeli takie rady i wskazówki dają innym, powinienem także sam się do nich stosować. Pozwólcie i mnie nie być kłamcą, obłudnikiem i oszustem.

Sprawę tę traktuję poważnie, na serjo, a nie konwensansowo, nie salonowo. Przecież zaszczytna nazwa katolika, rycerza Marji, czciciela Boga w Trójcy Świętej Jedyne go chyba do czegoś obowiązuje. Noblesse oblige. Przyna leżność do tego lub owego wyznania nie może być sta wiana na równi z przeznaczaniem przez władze wojskowe bezwolnych rekrutów do różnej broni. Jak są przymusowi infanterzyści, kawalerzyści, artylerzyści, tak też mają być przymusowe chrześniaki, obrzezaki, jednopostaciowcy, dwu postaciowcy i inni niewolnicy przymusu wyznaniowego. Re krut pod batem i pod groźbą kary składa zbrodniczą kaino wą przysięgę; nad niewinnem i nieświadomem niemowlęciem popełnia się gwałt chrztu, obrzezania i innych tego rodzaju obrządków. Przestrzegana przez ewangelików confirmacja ma być świadomem potwierdzeniem przez dane indywiduum popełnionego na niem w niemowlęctwie gwałtu. Oczywiście sprowadza się to zwykle do pustej formalności.

Jeżeli brać rzeczy nie powierzchownie, nie konwenan sowo, nie formalnie, nie policyjnie, ale zgodnie z prawdą, to ja wystąpiłem z Kościoła katolickiego przed przeszło sześćdziesięciu (60-u) laty. Moje milczenie o tym fakcie, a więc obłudne, kłamliwe, fałszywe przyznawanie się do ka tolicyzmu, dające mi możliwość korzystania z przywilejów, które mi się nie należały, było po prostu nieuczciwością i podłością.

Wprawdzie moje dotychczasowe występy publiczne świadczyły dostatecznie o mojem faktycznem wystąpieniu z Kościoła; ale do takich junackich występów ludzie są przy zwyczajeni i uważają je za rodzaj fanaberji i swoistego sportu. Objaśnia się je błazeńską donkiszoterją, żakowskiem popisywaniem się, brawurą, megalomanią, tem że świerzbi język, a ręka pisząca jest mu posłuszna. I istotnie, jeśli się trochę zastanowić i pomyśleć spokojnie, można zapytać: Czy warto tracić czas i energję umysłową na wynurzenia,

które nikomu nie są potrzebne i pozostają głosem, rozlegającym się w pustyni?

Obecnie mogę zapewnić, że przy zgłoszeniu mego urzędowego wystąpienia z powszechności rzymsko-katolickiej powodują mną nie próżność, nie megalomanja, ale nakazy mojej etyki osobistej, między którymi jedno z czołowych miejsc zajmuje nie zawarte w Dekalogu przykazanie: *nie kłam, nie udawaj, nie oszukuj, nie fałszuj, nie bądź obłudnikiem*.

Jeżeli fałszowanie materiałów spożywczych, fałszowanie pieniędzy i t. d. uważane jest za grzech i występki, to tem bardziej powinno być uważane za grzech i występki i okrywane pogardą *fałszowanie sumień własnych i cudzych*.

Zastrzegam się przytem, że nie jestem fanatykiem prawdy. Rozróżniam prawdę w nauce a prawdę w życiu. W nauce obowiązuje prawda bezwzględna, dla której należy być gotowym nawet na męczeństwo. W życiu obowiązek głoszenia prawdy wygląda nieco inaczej. Są sprawy ważne, sprawy społeczne, sprawy polityczne; a są też sprawy prywatne, osobiste, sprawy mniej ważne, a przynajmniej względnie ważne. W stosunku do spraw osobistych zatajenie „prawdy“ bywa czasem obowiązkiem, a mówienie prawdy może graniczyć ze „zbrodnią“.

W danym wypadku, gdy chodzi o mój stosunek do Kościoła, prawda naukowa zbiega się z prawdą społeczną, a więc ma się do czynienia ze sprawą ważną. Kontynuowanie milczenia i tłumienia prawdy byłoby fałszowaniem istotnego stanu rzeczy. Niech inni fałszują, ale ja nie chcę i nie mogę dłużej fałszować.

Od dłuższego czasu trapiły mnie wyrzuty sumienia, które (t.j. nie wyrzuty, ale sumienie) na swoje nieszczęście posiadam. Doznawałem nieustającego dręczącego niepokoju. Wzmagala się we mnie dokuczliwa i bolesna pogarda dla samego siebie za tchórzostwo i za brak odwagi do zdobycia się na krok stanowczy. Musiałem sobie ulżyć. Musiałem odbyć tę „spowiedź powszechną“. Musiałem „dać świadectwo prawdzie“.

W ciągu swego bezmyślnego, głupiego, splugawionego, ludzko-bydłęcego życia popełniłem mnóstwo nieuczciwości, „grzechów“, występków, łajdactw, objawów tchórzostwa, wykroczeń przeciw człowieczeństwu w podniosłem znaczeniu tego wyrazu. Bezczęściłem godność ludzką, cudzą i własną. Wy-

rzadzałem niepowetowane krzywdy innym i samemu sobie. Marnotrawiłem i trwoniłem posiadane skarby pod każdym względem.

Wiem napewno, że ani katolicyzm, ani żadne inne wyznanie nie uchroniłoby mnie od tych wszystkich zdrożności i błędów. Nie uchroniła mnie moja własna etyka osobista. Przemogła natura, przemogły zdrożne nałogi i bydlęce popędy.

Od przeszło sześćdziesięciu lat praktykowałem chroniczne oszustwo co do swej przynależności wyznaniowej. Chcę przynajmniej pod koniec życia oczyścić się, być uczciwym, nie obłudnym, nie mówić fałszywego świadectwa o samym sobie.

Nie chcę uprawiać flirtu z Panem Bogiem, obowiązującego „katolików“ z inteligencji i z „towarzystwa“. Niech pozostają „katolikami“ różni światowcy, czy to obłudnie „praktykujący“, czy to wcale niepraktykujący, ale podtrzymujący przyjazne stosunki z klerem dla oddawania sobie wzajemnych usług.

Odgraniczam się od „katolików“, odgraniczam się od obrońców wojny, od obrońców kary śmierci, od obrońców wszelkiego rodzaju niewolnictwa, odgraniczam się od jegośmościów, twierdzących, że śluby cywilne wymyślili bolszewicy i że obchodzenie się bez ślubu kościelnego jest „sprośnym konkubinatem“. Odgraniczam się od zbiorowiska, do którego należą i którego bronią tęp, bezduszni, pozbawieni logiki i poczucia sprawiedliwości burokraci (urzędnicy Min. W. R. i O. P. i członkowie Najwyższego Trybunału Administracyjnego), wbrew wyraźnym nakazom Konstytucji pozbawiający praw osobę, która zdała bardzo dobrze egzamin maturalny ze wszystkich przedmiotów *naukowych*, ale, jako urzędowo *bezwyznaniowa*, nie mogła zdawać z wypowiadającej walkę nauce „religij“. Takiego pozbawiania praw nie było nawet w Rosji carskiej.

Uznaję słuszność przysłowia „co po psie w kościele, kiedy pacierza nie mówi“; nie chcę być „parszywą owcą“, zanieczyszczająca kościół, i dla tego wychodzę.

Gorliwcy „katolicy“, obawiający się zgorszenia, niech się pocieszą. Niema się co martwić. I bezemnie pozostaną w łonie Kościoła katolickiego tysiące, miliony obłudników, fałszywych katolików, farbowanych lisów, a przecież o nich

przedewszystkiem chodzi Kościołowi wojującemu i roszczącemu pretensję do wszechwładzy, do panowania nad całą ludzkością.

Przez moje wykreślenie ze spisu rzymskich katolików statystyka urzędowa nic nie ucierpi. Będzie to kropla w morzu.

Rozstając się publicznie z moimi rzekomymi współwyznawcami współobywatelami wszechświatowej monarchji papieskiej, nie żywię do nich żadnych nieprzyjaznych uczuć. Przeciwnie, żegnam ich z prawdziwą wdzięcznością za to, że mnie nie prześladowali i nie wymagali odemnie obłudnych praktyk wyznaniowych.

Słyszałem, że w czasie mojej ostatniej choroby w niektórych kongregacjach modlono się za mnie. Jestto bardzo rozczulające i rozrzewniające. Dziękuję gorąco tym życzliwym dla mnie osobom. Tem bardziej jestem względem nich obowiązany do szczerości i do nieudawania katolika.

Zanadto szanuję ludzi prawdziwie wierzących, ażebym ich miał nadal oszukiwać. A o obłudników, umizgających się do kleru i flirtujących z „Panem Bogiem”, nie dbam.

Może jeszcze będę współpracował ze szczerze wierzącymi w obronie prawdy i sprawiedliwości. Gdyby jednak żądano odemnie „pojednania się z Bogiem“, uważałbym to za objaw potwornej megalomanji. Byłoby śmieszne, gdyby np. wesz lub pluskwa chciały się pojednać z człowiekiem; a przecież odległość między człowiekiem a Bogiem, choćby nawet stworzonym na obraz i podobieństwo człowieka, jest nieskończenie większa, aniżeli odległość między wszą lub pluskwą a człowiekiem.

Gdyby po sześćdziesięciokilkoletniej nieobecności powróciła wiara, i ja wrócę do Kościoła. Niema jednak o to obawy. Jak powiedział jeszcze Göthe w „Aus meinem Leben Wahrheit und Dichtung“, powrót do istotnie utraconej wiary jest absolutną niemożliwością. Łysa głowa włosiem nie porasta. Chyba żebym dostał rozmiękczenia mózgu.

Argumenty przeciw memu postanowieniu.

Niektóre osoby, którym wspominałem o zamiarze wystąpienia z Kościoła, stanowczo przeciwko temu protestowały, twierdząc, że byłoby to „zgorszeniem publicznem“ i krokiem szkodliwym pod każdym względem. A trzeba do-

dać, że osoby te wcale nie należą do prawdziwie wierzących.

Tak więc jawne i otwarte stwierdzenie faktu, że się nie jest tym, za kogo się uchodzi, ma być „zgorszeniem“. A praktykowanie obłudy, zawieranie konkordatów i robienie ustępstw klerowi, wbrew zdrowemu rozsądkowi i ze szkodą dla społeczeństwa, nie jest zgorszeniem? A popieranie mordery Niewiadomskiego przez kler nie jest zgorszeniem? A twierdzenie dostojników kościelnych, że śluby cywilne to wymysł bolszewików, nie jest zgorszeniem? A ciągłe naruszanie 5-go przykazania przy błogosławieństwie zawodowych głosicieli „miłości bliźniego“ nie jest zgorszeniem? A cyniczne praktykowanie kłamstwa i obłudy nie jest zgorszeniem?

Jak już powiedziałem, owe osoby obawiające się zgorszenia nie należą wcale do osób wierzących. Im chodzi tylko o zachowanie pozorów, jako też o panowanie, do spółki z klerem, nad ludkiem głupiutkim i pokorniutkim, boć, jak mówi Karol Havliczek Borovsky,

bez boha se prostým lidem neni k vydrže-
ni (bez boga z prostym ludem nie podobna wytrzymać).
(„Komu i na co potrzebny jest Bóg“. „M. W.“ 1925 Nr. 1,
str. 7).

Stara to, od wieków znana polityka. Dość wspomnieć kapłanów egipskich, augurów rzymskich i innych zawodowych okpiwaczy. Ja jednak nie potrzebuję nikogo durzyć, tumanić i okpiwać.

Inni znowu byli przeciwko memu wystąpieniu, ponieważ przez wystąpienie traci się wpływ na rzekomych współwyznawców. „Uważam za pożyteczniejsze pozostanie i walczenie wewnątrz. Pisze Pan: „dość obłudy i udawania“, ale w danym wypadku niema ani obłudy, ani udawania, gdyż Pan nigdy z swojemi poglądami się nie krył... Ja staram się nie zrywać z moimi „bliźnimi“, tylko stwierdzać, że o wiele więcej byłoby między nami zgody i bliskości, gdyby nas nie różniły kościelne przesady, a więc są one przeszkodą, a więc usuwajmy je stopniowo razem, obopólnie. Tylko w ten sposób można ścierać „kanty“. Inna sprawa masowe wystąpienie. Na to oczywiście jeszcze u nas zawcześnie, ale agitować można. Ale wszystko na nic wobec roli, jaką odgrywa katolicyzm

u nas; musi być zrównany z innemi wyznaniem, a wszystkie wyznania muszą być oddzielone od państwa; winny być prywatnemi religijnemi stowarzyszeniami“.

Tak pisał do mnie jeden z bardzo mi życzliwych wolnomyślicieli. Jego zarzuty odpieram następującemi uwagami:

Mój przyjaciel twierdzi, że przez wystąpienie urzędowe z łona danego wyznania traci się wpływ i pozbawia się możliwości oddziaływania na innych rzekomych współwyznawców. Ależ ja nie chcę wywierać żadnego wpływu, nie chcę na nikogo oddziaływać. Nikogo nietylko nie zmuszam, ale nawet nie namawiam do udawania niewierzących. Nie wdzieram się nieproszony do tajników duszy ludzkiej. Chcę być sam i nawet najbliższych mi osób nie namawiam do naśladowania mnie. Żądam tylko od nich absolutnej tolerancji dla samego siebie. Obcy mi jest duch prozelityzmu, propagandy, nawracania. Nie chcę odbierać duszom wierzącym pociechy i osłody, jaką znajdują w religji. Co więcej, jestem tego zdania, że „Religja serc naiwnie wierzących zasługuje na uznanie i szacunek choćby dla tego, że wprowadza duszę do dążeń idealnych i uszlachetniających“. („Myśli nieoportunistyczne“. Kraków, 1898, № 8). Wiercie sobie w co chcecie, przestrzegajcie nauk i wskazówek swych duszpasterzy, tylko mnie dajcie święty spokój i nie troszczcie się o zbawienie mojej duszy, które mnie samego nic nie obchodzi. Pozwólcie mi być tem, czem jestem. Nie zmuszajcie mnie i nie namawiajcie mnie do udawania katolika, kiedy nim nie jestem. Nie stosujcie do mnie gwałtu i przemocy. Stosujcie do mnie tolerancję.

Inkwizytorowie palili na stosach setki i tysiące dla zbawienia duszy smażonych. Krzewiciele katolicyzmu i „chrześcijaństwa“ tępilili ogniem i mieczem całe ludy przez „miłość bliźniego“, dla zbawienia grzęznących w „pogaństwie“ i w „herezji“ dusz. Z powierzchwni zdobytej przez „chrześcijan“ Ameryki zniknęły całe ludy ze swoistą kulturą i z odrębnemi wierzeniami. Wytępiono Albigenów, wytępiono Arjan. Wszystko od majorem Dei gloriam (na większą chwałę Boga). Ja nie mógłbym uczestniczyć w podobnych czynach apostołskich. Pod tym względem nie czuję w sobie ani krzty sadyzmu, niezbędnego do krwawych całopaleń na chwałę Boga żydowsko-chrześcijańskiego. Nie chcę nikogo nawracać ani mieczem, ani stosem, ani słowem.

Mego absolutnego indyferetyzmu co do wierzeń innych ludzi nie można zestawiać z postępowaniem żydów asymilatorów, a raczej zasymilowanych, którzy, zlawszy się ze społeczeństwem ich otaczającym, wyrzekli się wszelkiej styczności z żydostwem. Przecież nie stawali się oni pozawyznaniowcami, ale, przeciwnie, przechodzili do obozu innego wyznania, wrogiego ich poprzedniemu wyznaniu, a więc nakładali na siebie piętno odszczepieńców i już przez to samo zamykali sobie drogą do kulturalnego oddziaływania na swych dawnych pograżonych w ciemnocie współwyznawców. Ja zaś nie bawię się w namawianie kogokolwiek bądź do zmiany wyznania na wyznanie, narodowości na narodowość. Wszystkie one posiadają w moich oczach jednakową wartość.

Według zdania mego przyjaciela należy dążyć do zbiorowego, gromadnego występowania z Kościoła, coś w rodzaju stadowego chrzczenia „pogan“. Ja wcale do tego nie dążę. Liczba mi nie imponuje. Jeden Kopernik wart w moich oczach nierównie więcej, aniżeli całe miliony współczesnych mu dwunogich. Sam sobie wystarczam. Sam zrywam z Kościołem, by choć pod koniec życia nie być oszustem i nikczemnym tchórzem.

Mój przyjaciel powiada, że katolicyzm musi być zrównany z innymi wyznaniem, a wszystkie wyznania oddzielone od państwa. Bardzo to piękne *pia desideria* (pobożne życzenia), ale kto się zajmie ich zrealizowaniem? Kto będzie zrównywał, kto będzie oddzielał wyznania od państwa? Przecież chyba nie my; *vanae sine viribus irae* (próżne bezsilne gniewy). Więc może Sejm i Senat, instytucje prawodawcze, złożone w większości z obłudników i obskuranatów? Może Rząd, grający w tych sprawach rolę pokornego służki Rzymu i kleru miejscowego? A może nareszcie Komisja Kodyfikacyjna, której pojedynczy członkowie w cztery oczy czupurzą się, są niezmiernie wolnomyślni i żądają uświecczenia życia społecznego, a gdy przyjdzie co do czego, tulą uszy i przy głosowaniu kierują się względami oportunistu i obawą narażenia się klerowi i „opinji publicznej“.

Dajmy więc pokój tym „musom“. W Polsce współczesnej nie może być mowy ani o zrównaniu katolicyzmu z innymi wyznaniem, ani o oddzieleniu kościołów od państwa. Konstytucja jest na pokaz, a życie idzie swoją drogą. Zresztą

1 Konstytucja przyznaje katolicyzmowi pierwszeństwo. A cóż dopiero Konkordat, przed którym wszelka „sanacja moralna“ i inne obiecanki-cacanki stają na baczność lub też chowają się w kąt i nie śmieją pisać. Więc ze swemi zuchwałemi żądaniami możemy czekać do sądnego dnia.

Posiadając zmysł rzeczywistości, ja tak daleko nie sięgam i nie dążę do masowych wystąpień. Sam chcę być wolnym i we własnych oczach uczciwym, a inni nic mnie nie obchodzą.

Ale mój przyjaciel namawia mię do czegoś bardzo szpetnego i nagannego, mianowicie do tego, ażebym pozornie należał do Kościoła, a w duszy knuł podstęp, oszustwo i zdradę. Boć przecie chyba zdradą należy nazwać podkopywanie się pod całość, do której jest się zaliczanym. Byłaby to zaszczytna rola konia Trojańskiego, albo, co gorzej, rola Azefa, będącego jednocześnie spiskowcem-rewolucjonistą i szpiclem, agentem Ochrazy carskiej. Inni znowu jednocześnie służą w defensywie polskiej i są agentami komunistów bolszewików. Jestto niecna, podła robota.

Należąc do Kościoła choćby tylko nominalnie, nie wolno działać na jego szkodę. Jeżeli walczyć, to walczyć otwarcie, a nie podstępem i zdradą.

To, co tylko co powiedziałem, brzmi szlachetnie i wspaniale. Ale istnieje także odwrotna strona medalu i, jeżeli ona bierze górę, mój przyjaciel będzie miał słuszność. Rycerskość i gra w otwarte karty obowiązuje tylko wtedy, kiedy i przeciwnik przestrzega tych samych metod. Jeżeli zaś przeciwnik walczy za pomocą gwałtu, przymusu, represji, prześladowania za przekonania, za pomocą więzienia, konfiskat, pozbawiania praw i t. p., nie mogę go uważać za zasługującego na szacunek i otwartą walkę i muszę zamiast tego uciekać się do podstępu i roboty tajemnej. Ja sam to praktykowałem. Ponieważ w Rosji carskiej nie wolno było sprowadzać z zagranicy wielu wydawnictw, choćby tylko z powodu używanego w nich alfabetu (np. alfabetu łacińskiego w wydawnictwach z tekstem litewskim, ukraińskim, białoruskim), ponieważ szalała tam cenzura i żandarmerja graniczna, więc uważałem za swój święty obowiązek, ile razy wyjeżdżałem za granicę, przemycać kontrabandą pewną ilość wydawnictw zakazanych i przez cenzurę prześladowanych. Było to nie-

lojalne wobec państwa, ale państwo, oparte na podstawach, kłócących się z wymaganiami etyki, państwo, tłumiące myśl, słowo, wszelką wolność obywatelską, nie zasługiwało na zachowywanie wobec niego lojalności; przeciwnie, prowokowało najdalej idące zamachy „wywrotowe“, a cóż dopiero niewinną kontrabandę książek zakazanych.

Wychodzimy z różnych założeń. Mój przyjaciel zapatruje się na nasze obecne położenie pesymistycznie i stoi na stanowisku przedwojennem, kiedy państwo kneblowało usta i krępowało ręce i kiedy jedynym skutecznym sposobem walki z tym potworem były spiski i zamachy. Ja zaś jestem naiwnym optymistą, wierzącym Konstytucji, która podobno zabezpiecza wolność sumienia, wolność wyznania i inne niezbędne w życiu nowoczesnem wolności. Oczywiście, gdyby Kościół miał nieograniczoną i niczem niekrępowaną władzę, inaczej wyglądałyby te nasze wolności. Może wtedy ziściłyby się marzenia niektórych przedstawicieli kleru o powrocie dawnych czasów, kiedy to Kościół krwi nie przelewał, ale za to smażył na stosach mięso heretyków i wszelkich swoich wrogów.

Około roku 1875 Aleksander Świętochowski, bawiący się wówczas w wolnomyslicielstwo i jeszcze daleki od ideałów endeckich, występował w Krakowie przeciwko klerowi katolickiemu z powodu głośniejszej sprawy Barbary Ubryk. Gromiący wrogów Kościoła słynny kaznodzieja ksiądz Goljan zagrzmiał wtedy w kościele Panny Marii: „gdyby się wróciły dawne czasy, rzuciłbym na niego czarną świecę!”

Niestety ręce za krótkie. Kościół wojujący musi się dostosowywać do zmienionych warunków życia i zapatrywać społeczeństwa, z którego też sam się rekrutuje. Takich amatorów smażonego mięsa ludzkiego, jak ksiądz Goljan, jest chyba niewielu. Więc pomimo wszelkich konkordatów Konstytucja gwarantuje do pewnego stopnia wolność sumienia, tak że można bez obawy wojować ustnie i piśmiennie nawet z Kościołem świętym. A ja nie wojuję z nim, tylko, nie chcąc go oszukiwać, w najlepszej komitywie z nim się rozstaję i wyjaśniam powody rozstania. Co więcej, chodzi mi przytem o podniesienie poziomu moralności wogóle, t.j. nietylko poza Kościołem, ale także w łonie samego Kościoła. Dążę do uzdrowienia moralnego, do oczyszczenia i do uszlachetnienia zarówno osób wierzących, jak i niewierzących.

Niestety po ostatnich wystęпах najwyższych interpretatorów i realizatorów Konstytucji dochodzi się do wniosku, że ja łudzę się, a słuszość ma mój przyjaciel, odradzający traktowanie Kościoła i jego obrońców jako uczciwych przeciwników. Przypomnijmy sobie głośną sprawę panny Ireny Stróżeckiej, która uczyła się w gimnazjum jako urzędowo *bezwyznaniowa*, więc, zdając maturę, nie mogła zdawać z t. zw. religji, który to przedmiot, jako co do swych „prawd“ zależny od pochodzenia wyznaniowego osoby egzaminowanej, jest sprzeczny z wszelką prawdziwą nauką. Zdawszy bardzo dobrze egzamin, miała prawo na otrzymanie świadectwa maturalnego. Ministerstwo jednak odmówiło zatwierdzenia świadectwa, ponieważ brakuje w niem stopnia z religji. Matka abiturjentki, pani Estera Stróżecka, zaskarżyła tę decyzję Ministerstwa W. R. i O. P. do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, uważając go za obiektywnego i bezstronnego stróża prawa, Konstytucji i zaprzysiężonych przez Prezydenta Rzeczypospolitej i przez cały Rząd praw i swobód obywatelskich. Tymczasem Najw. Tryb. Adm. za pomocą różnych rozumowań, kłócących się poniekąd z logiką i z poczuciem sprawiedliwości i praworządności, skargę pani Stróżeckiej oddalił, zatwierdzając orzeczenie Ministerstwa.

Okazuje się, że odziedziczone po najeźdźcach ze Wschodu przyzwyczajenie do gwałcenia sumień i poniewierania godnością ludzką ma przewagę nad Konstytucją niepodległego państwa polskiego, że Konstytucja jest sobie tymczasem tylko próżnem marzeniem i obietanką cacanką, że ułożono ją jedynie na eksport, dla mydlenia oczu zagranicy i naiwnym prostakom w samej Polsce. Po dawnemu najwyższe instancje rządowe każą obywatelom, chcącym korzystać z przynależnych im praw, uciekać się do łapówek, do kłamstwa, oszustwa i obłudy. Zapewniano mię, że za 60 złotych czy coś około tego można dostać świadectwo o zdaniu egzaminu z „religji“, o ile się nie uczęszczało na wykłady tej swoistej nauki. Tak to rząd „sanacji moralnej“ i „walki ze złem“ pracuje nad umoralnieniem i uzdrowieniem społeczeństwa.

Pod tym względem w Polsce dzisiejszej jest gorzej, niż było w Rosji carskiej. Przed wojną sam widziałem kilka-

naście matur czyli prawomocnych świadectw dojrzałości bez stopnia z „religji“. Jeżeli w danej szkole nie było nauczyciela pewnej religji, zwalniano eo ipso abiturjenta czy abiturjentkę od obowiązku składania egzaminu z tego „przedmiotu“. Między temi świadectwami widziałem nawet kilka wydanych katolikom, ponieważ w ich szkole średniej nie było katechety katolickiego. Tylko prawosławny nie mógł się obejść bez stopnia z „religji“ uprzywilejowanej i przodującej innym.

Chociaż jestem stanowczym przeciwnikiem wszelkiej walki za pomocą gwałtu, to jednak odczułem to orzeczenie Najwyższego Trybunału Administracyjnego jako wyzwanie, rzucone wszystkim obywatelom, walczącym o wolność sumienia i o poszanowanie godności ludzkiej. A cóż dopiero mówić o ludziach mało krytycznych, łatwo zapalnych i gotowych do walki czynnej. Tacy ludzie mogą dojść do wniosku, że w Polsce drogą legalną niepodobna korzystać z zawartych w Konstytucji praw obywatelskich, i że konieczną jest walka konspiracyjna, spiskowa, zamachowa, krwawa. Wniosek błędny, ale nastroju tych ludzi nie wolno lekceważyć i bagatelizować. Same zaś represje mogą zawieść i zwykle zawodzą.

Otóż wobec tego wszystkiego mój przyjaciel, zalecający mi granie roli kreciej i dwulicowej, może mieć słuszość.

Sprawa „powłoki cielesnej“.

Mnie osobiście niewiele się już należy: tylko w „proch się obrócić“.

„Mam prawo uważać siebie za prawdziwego wolnomysliciela i bezwyznaniowca, chociaż nie obnoszę się z tą swoją charakterystyką jak kura z jajkiem. I właśnie, jako „wolnomysliciel“ i „bezwyznaniowiec“, chcę tu określić swój stosunek do własnego ciała po śmierci, której jakoś nie mogę się doczekać i muszę ciągle jeszcze znosić gorycz i mękę istnienia.

„Mnie samego już wtedy nie będzie. Ten najsubtelniejszy wytwór i szczyt istnienia rozwojowego, jakim jest „dusza“

jednostkowa, jakim jest świadomość, myślenie, chcenie, odczuwanie i t. d., zniknie absolutnie, pozostawiając na placu boju tylko swe martwe podłoże organiczne, skazane na rozkład i zlanie się ze wszechświatem chemiczno-fizycznym. Właściwie więc powinno by mi być całkiem obojętne, co się stanie, po śmierci z temi mojemui zwłokami, z tym moim trupem. Jeżeli jednak pozwalam sobie wypowiedzieć co do tego jakieś żądania i wymagania, to kierują mną przytem, z jednej strony, względy oszczędnościowe, z drugiej zaś strony chęć przysłużenia się nauce, badającej ciało ludzkie zarówno ze stanowiska teoretycznego, jako też dla potrzeb praktycznych.

„Dla swego t. zw. ciała mam za życia wstręt i pogardę. Gdyby nie ono, nie popełniałbym wielu t. zw. grzechów, przestępstw, a może nawet zbrodni, nie ulegałbym szkodliwym dla siebie samego i dla innych podszeptom i autosugestjom, nie wyrządzałbym niepowetowanych krzywd, zarówno sobie samemu, jako też innym osobom. Jeżeli więc nie mam dla swego ciała najmniejszego szacunku za życia, to z jakiego powodu miałbym zmieniać ten swój do niego stosunek po śmierci, kiedy ja sam już istnieć nie będę?

„Gdybym żył „w pierwszych wiekach chrześcijaństwa“, możeby mnie przedzierzgnięto całkiem darmo w jedną z „pochodni Nerona“. Gdybyśmy żyli w „wiekach średnich“, kiedy to „Kościół święty“, „matka nasza“, wojująca a dbała o zbawienie dusz, „krwi nie przelewała“, możeby ksiądz Lutosławski i Spółka urządzili mi darmowe krematorium na stosie. Gdybym żył we Francji w czasie „wielkiej Rewolucji“ „wielkiego narodu“, możeby mi całkiem darmo oddzielono głowę od kadłuba i pochowano kosztem skarbu u stóp gilotyny. Gdybym żył dziś w Europie wschodniej „pozakresowej“, możebym, jako „burżuj“ i „kontrrewolucjonista“, został najprzód postawiony „pod ścianką“, a następnie znalazł darmowy „wieczny odpoczynek“ w dole własnemi rękoma wykopanym.

„Niestety, nie mogę chyba liczyć na żaden z tych tanich sposobów przeniesienia się na tamten świat. Czekam więc prawdopodobnie (o ile nowy wybuch sztucznie przez władze wojskowe urządzonych w Cytadeli warszawskiej wulkanów nie przyspieszy mego „przeniesienia się do wieczności“) t. zw.

„śmierć naturalna“, bez szczególnych względów ze strony „świętych hermandad“, patryjotycznych „komitetów ocalenia publicznego“ i „czrezwyczajek“ przenajróżniejszego autোরamentu.

„Dla tego, co zostanie po mnie a nie będzie mną, nie chcę ani spalenia w krematorium, ani też uroczystego pogrzebu. Zarówno jedno, jak drugie pociągnęłoby za sobą ogromne koszty, a narażanie czy to rodziny, czy też kogo innego na takie zbędne wydatki byłoby głupotą lub przestępstwem. Lepiej te pieniądze użyć na co innego. Nie należy krzywdzić żywych na korzyść cmentarzy i krematorjów.

„W razie tedy mego „przeniesienia się do wieczności“ wymagam stanowczo:

„1) ażeby nie robiono o tem żadnych ogłoszeń ani w dziennikach, ani na ulicach, bo szkoda tych „miljonów“¹⁾ na nekrologi i klepsydry;

„2) ażeby nie wystawiano ciała „na pokaz“;

„3) ażeby nie urządzano żadnych ceremonji, ani religijnych, bo te same przez się są wykluczone przy zwłokach bezwyznaniowca, ani też świeckich;

„4) ażeby nie marnowano żadnych ubrań przez nakładanie ich na trupa, który przecież żadnych ubrań nie potrzebuje. Co najwyżej można go zawinąć w jaką starą płachtę.

„Rozumie się samo przez się, że wszelkie nabożeństwa żałobne i „za spokój duszy“ są stanowczo wykluczone. W zastosowaniu do takiego „niedowiarka“ jak ja były by one po prostu śmieszne. Niech się nikt nie niepokoje o spokój duszy, która nie będzie istniała.

„Zwłoki moje należy oddać do całkowitego rozporządzenia prosektorjum anatomicznemu i innym związanym z niem instytucjom, pod warunkiem oczywiście, że transport tej ruchomości z mieszkania do miejsca badań odbędzie się ich kosztem.

„Sądzę, że moja śmiertelna powłoka, z jej mózgiem, z jej

¹⁾ Pisano to za czasów panowania marki, kiedy to dzisiejszemu złotemu polskiemu odpowiadały co do wartości prawie dwa miliony marek.

nerwami, mięskami, gruczołami, kośćmi i innymi częściami składowymi, może przedstawiać pewien interes naukowy. Tyle nieraz trudności przedstawia dla prosektorjum uzyskanie trupów przeciętnych śmiertelników, kończących żywot w szpitalach. Niedostępnymi dla badań sekcyjnych są przede wszystkim trupy żydowskie. Rzadkością zaś bywa na stole sekcyjnym trup profesora, a w dodatku „niedowiarka“, wprawdzie nie „żydomasona“, ale coś około tego.

„Dzięki własnemu niedołęstwu i niepomysłnym okolicznościom, nie wiele mogłem przynieść pożytku nauce za życia, jako subiekt badający. Niechże to choć w części wynagrodzę po śmierci, każąc swym zwłokom występować w roli obiektu badanego“.

(„Orientacje trupy (W związku ze sprawą krematorium)“. „M. W.“ 1924 r., Nr. 3, str. 5—8).

„Odwaga cywilna“ tylko do pewnych granic.

Być może, iż niektórzy ojcowie duchowni z gatunku ś. p. księdza Goljana nie uznają mej pokojowości, będą mię uważali za krnąbrnego heretyka i rzucą na mnie klątwę. Perspektywa klątwy wcale mnie nie trwoży. Klątwa i ja są to rzeczy niewspółmierne. Klątwa mnie wcale nie ugodzi i przejdzie mimo moich uszu. Szkoda więc na nią czasu i fatygi. I wogóle klątwy, anatemy, chajremy i t. p. wyszły teraz z mody.

Prawdopodobnie w wiekach średnich, za panowania Inkwizycji Świętej i Świętej Hermandady zabrakłoby mi odwagi do uczynienia podobnego kroku. Perspektywa powolnego smażenia się na stosie wcale by mi się nie uśmiechała. Jestem wogóle wytrzymały na ból fizyczny, ale tylko do pewnego stopnia. Pomimo więc, żeby mię może świerzbiał język, trzymałbym go za zębami, a nawet nikomubym się nie zwierzał ze swemi wątpliwościami i heretyckimi zapamiętowaniami na Kościół rządzący a mściwy.

Podobnie w Bolszewji zachowywałbym się skromnie i potulnie, nie zdradzałbym się ze swą „łobuzerką wolnomysłcielską“ i, stuliwszy uszy, podporządkowałbym się no-

woczesnej „myśli karnej i zorganizowanej“. Działająca w imieniu „dyktatury proletariatu“ Inkwizycja święta naszych czasów, sowiecko - socjalistyczna Czarzyczałka, czy to pod właściwym szyldem, czy też pod pseudonimem GPU, nie przebaczyłaby mi mych buntowniczych myśli i, jako „burżuja“ i „kontrrewolucjonistę“, postawiłaby „pod stienku“. Gdybym był pewny, że rozstrzelanie spowoduje śmierć natychmiastową, nie miałbym nic przeciwko temu. Ale śmierć może nastąpić nie od razu, tak że jakiś czas wypadłoby męczyć się i doznawać dotkliwego bólu. Nie zapominajmy też, że, za przykładem swych siostrzyc, Inkwizycji Świętej i Hermandady Świętej, i święta Czarzyczałka uciekała się do tortur.

Zważywszy to wszystko, trzeba być wyrozumiałym i nie rzucać kamieniem na tych nieszczęśliwców, co, pozostawszy w państwie terroru, ugięli karki przed komunistami i bolszewikami, a przedtem przed hordami uzbrojonymi, przed rozbrodniczonem przez wojnę, rozwścieczonem i rozbestwionem żołdactwem i przed zgają towarzyszy, wcielających w życie „zawiet Iljicza“: „grab' nagrabilennoje“. Będąc przykutym do łańcucha, trudno się bawić w „odwagę cywilną“ i w „wolnomysłicielstwo“.

Jest jeszcze jeden kraj europejski, gdzie prawdopodobnie nie odważyłbym się wypowiadać szczerze i otwarcie swych myśli o stosunku do Kościoła: kraj tyrana imperjalisty, kraj czarnych koszul, kraj band faszystowskich.

Może się mylę, ale zdaje mi się, że w Polsce pomimo wszystkiego tolerowaną jest jeszcze tolerancja, tolerowaną jest pewna swoboda sumienia, wolność słowa i wypowiadania się. Można więc sobie pozwolić na takie tanie „bohaterstwo“, jak publiczne, urzędowe zerwanie z Kościołem, zwłaszcza pod koniec życia, kiedy mi się już niewiele należy.

Gdybym się zawiódł, gdyby władze decydujące nie uwzględniły mego żądania, musiałbym w dalszym ciągu stosować metody niewolnicze, t. j., głosząc zasady przez Kościół potępione, pozostawać oficjalnie w jego łonie, a więc uprawiać fałsz i obłudę.

Zobaczymy.

Podania do władz.

1) Do Zarządu parafji rzymsko - katolickiej kościoła św. Krzyża w Warszawie.

Od przeszło sześćdziesięciu lat przestałem być katolikiem. Nie odprawiam żadnych modłów, nie uczęszczam na nabożeństwa, wogóle nie uczestniczę w żadnych praktykach religijnych. Ostatni raz spowiadałem się w roku 1861.

Nie wierzę w żadne dogmaty, ani katolickie, ani żadne inne, łącznie z głoszonym przez „dyktatorów proletariatu“ dogmatem bezbożnictwa.

Nie mam żadnych tęsknot religijnych, nie potrzebuję żadnych pociech religijnych.

Wobec tego pozostawanie formalne w łonie Kościoła rzymsko-katolickiego było z mej strony obłudą i nikiemnością. Dłużej wytrzymać nie mogę. Urzędowe wystąpienie z Kościoła jest nakazem mego sumienia.

Aby przynajmniej pod koniec życia dać świadectwo prawdzie i choćby przez szacunek dla Kościoła, pojmowanego nie jako instytucja żandarmsko-policyjna, ale jako zrzeszenie ludzi prawdziwie wierzących i istotnie potrzebujących wskazówek od duszpasterzy, postanowiłem wystąpić z niego otwarcie i z całą odwagą.

Na podstawie art. 111 i 112 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej proszę o wykreślenie mnie z listy parafjan i wogóle wyznawców Kościoła rzymsko-katolickiego.

Dr. Jan Baudouin de Courtenay,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Warszawa, 1 czerwca r. 1927. Ul. Smolna № 28 m. 6.

2) Do II. Ekspozytury Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę (Oboźna 4).

Zwróciłem się do Zarządu parafji rzymsko-katolickiej św. Krzyża w Warszawie z następującem oświadczeniem:

(Tutaj powtarzam powyżej, str. 73, przytoczony tekst oświadczenia).

Na dowód wysłania przeze mnie tego oświadczenia i otrzymania go przez Zarząd parafji załączam zwrotne poświadczenie odbioru z 2 czerwca r. 1927.

Zawiadamiając o tem Ekspozyturę Komisarjatu i załączając swój dotychczasowy dowód osobisty z 30 kwietnia r. 1922 pod № 6633/7710, proszę o wpisanie w rubryce „6. Wyznanie” zamiast „rz. katolickie”—p o z a w y z n a n i o w y.

Załączam też:

- 1) wypis z ksiąg ludności domu № 26/28 przy ul. Smolnej,
- 2) odpis mojej metryki chrztu z 25 marca r. 1845,
- 3) odpis przysposobienia (adoptacji) mego ojca Aleksandra przez jego stryja, Kacpra Baudouin de Courtenay, z 5 lipca r. 1859.

Dr. Jan Baudouin de Courtenay,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Warszawa, 15 czerwca r. 1927. Ul. Smolna № 28 m. 6.

U w a g a. W końcu lipca r. b. 1927 sprawa ta została załatwiona pomyślnie. Otrzymałem nowy dowód osobisty bez określenia wyznania.

SKRÓCENIA.

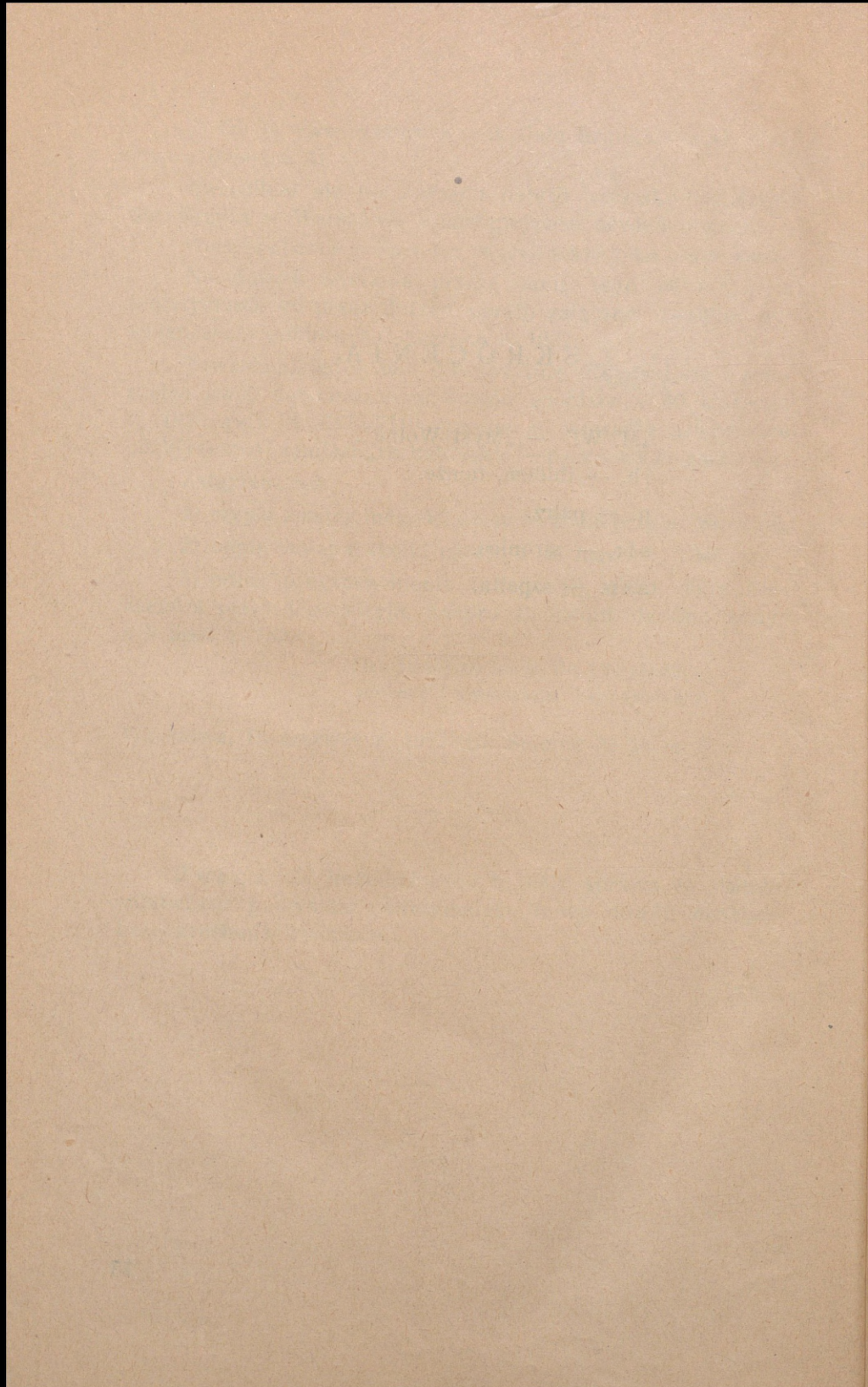
„M. W.” — „Myśl Wolna”.

i b. — ibidem, tamże.

p. — patrz.

s t r. — stronica.

s z p. — szpalta.



DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

<i>Str.</i>	<i>w.</i>	<i>zamiast:</i>	<i>ma być:</i>
7	38	fałszwą	fałszywą
7	38—39	mieszniach	mieszkaniach
9	18	nietylko	nietylko
11	14	licznie	liczbie
12	19	opiuji	opinji
12	32	mogto	mogło
15	4	m	mi
16	40	Świętej	Świętej
20	27	Przeszedłszy	Przeszedszy
25	24	uczestniłem	uczestniczyłem
26	2	prorektor	prosektor
29	21	największy	nawet największy
30	27	„negacją	„negacją“
33	5—6	wypowiedzianym	wypowiedzianych
34	27	bezwyznaniowości	bezwyznaniowości
35	5	człowieczowym	człowieczonym
36	32—33	rozwoły,	rozwoły.
39	26	wysyskiwane	wyzyskiwane
45	4	jednak.	jednak,
48	25	Belzebubów	Belzebubów,
55	34	kajdany	kajdany.
64	1	indyferetyzmu	indyferentyzmu
64	9	drogą	drogę

STATE OF NEW YORK

IN SENATE
JANUARY 1, 1891
REPORT
OF THE
COMMISSIONERS OF THE LAND OFFICE
IN RESPONSE TO A RESOLUTION
PASSED BY THE SENATE
MAY 1, 1890
ALBANY:
J. B. LIPPINCOTT & CO. PRINTERS.
1891.

SPIS RZECZY.

	Str.
Rozdział 1., wstępny	5—13
Punkt wyjścia. „Fałszywa fasja“	5
Opłakane skutki niewczesnej donkiszoterji	9
Mądralin	12
Rozdział 2. Moje pochodzenie katolickie. Mój „katolicyzm“ i moja wyznaniowość w ciągu całego życia	13—30
Dzieciństwo, chłopięctwo i pierwsza młodość	13
Po ostatniej w życiu spowiedzi	21
Moje współdziałanie z klerem katolickim	24
Rozdział 3. Moje dotychczasowe wystąpienia przeciw Kościołowi	30—37
Rozdział 4. Czy ja, będąc takim jakim jestem, mam prawo uchodzić za Katolika	37—57
Ogólna moja charakterystyka pod względem wyznaniowości i religijności	37
Sprawiedliwość	39
Nieśmiertelność duszy ludzkiej (i zwierzęcej)	43
Wmawianie w Boga próżności i żądy sławy	47
Kilka uwag o wszechwiedzy i wszechwładzy kleru	47
Księża Pallottyni	49
Wolnomyślicielstwo	54
Rozdział 5. Moje zerwanie z Kościołem nie tylko de facto, ale także de jure	57—72
Pobudki do otwartego wystąpienia z Kościoła	57
Argumenty przeciw memu postanowieniu	61
Sprawa „powłoki cielesnej“	68
„Odwaga cywilna“ tylko do pewnych granic	71
Podania do władz	73—74
Skrócenia	75
Dostrzeżone omyłki druku	77
Spis rzeczy	79



D № 81651

TEGOŻ AU

MIEDZY IN

Kilka ogólników o obiektywnej i subiektywnej odrębności „Ukrainy“ pod względem językowym, plemiennym, narodowym i państwowym (os. odb. z Księgi jubileuszowej Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki). Lwów 1925.

Kwestja żydowska w Państwie Polskiem. Warszawa 1923 (Biblioteka Wolnomyśliciela № 1).

W kwestji narodowościowej. Warszawa 1925. Księgarnia F. Hoesicka.

W „Kwestji Żydowskiej“. Warszawa. 1913.

Tolerancja. Równouprawnienie. Wolnomyślicielstwo. Wyznanie paszportowe. Warszawa 1923. (Biblioteka Stowarzyszenia Wolnomyślicieli Polskich. № 1).

Wyznaniowe i pozawyznaniowe śluby i rozwody. (Z powodu oczekiwanej reformy prawa małżeńskiego). Warszawa. Skład główny w Księgarni Robotniczej, Warecka 9. 1926.



NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ

„BEZ DOGMATU“

WYCHODZI

MIESIĘCZNIK WOLNOMYŚLNY

„ŻYCIE WOLNE“

POD REDAKCJĄ ROMUALDA MINKIEWICZA

ADRES REDAKCJI:

Warszawa, Piękna 44 m. 21

ADRES ADMINISTRACJI:

Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14

WARUNKI PRENUMERATY:

Kwartalnie	.	.	.	.	zł. 1.80
Półrocznie	.	.	.	.	„ 3.60
Rocznie	.	.	.	.	„ 7.20
Zagranicą rocznie.	.	.	.	.	dol. 1.—

P. K. O. № 14200.

Numer pojedynczy 60 groszy



ZAKŁADY GRAFICZNE
B. PARDECKI I S-ka
s. z o. o.
WARSZAWA, PAŃSKA 4, TEL. 322-00